Nr. 49. Lwów, Niedziela dnia 12. Sierpnia 1877 r. Tom V.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

Sprawy szkolne.

Wypadki na Wschodzie tak zajęły powszechnie umysły w Austryi i w Galicyi, że wobec nich sprawy krajowe poszły niemal w zapomnienie. Galicya i tak prawie zawsze była w zapomnieniu u mężów będących u steru państwa i traktowana po macoszemu; tem bardziej uczuwa to teraz, gdy z powodu przygotowań do wojny zapanował tak zwany system oszczędności. W tym roku zatrzymano wszelkie niemal roboty rządowe, awanse urzędników państwowych i instytucyj naukowych. Oszczędność w przedsiębiorstwach budowy rządowych gmachów przyczynia się do nędzy w kraju, ale może być w części usprawiedliwioną, zarówno jak i oszczędność w awansach urzędników, chociaż jest to połączone w wielu razach z niesłusznością i krzywdą. Ale oszczędność na cele wychowania, w szkolnictwie, nie jest oszczędnością, lecz uszczerbkiem wielkim, krzywdą nietylko jednostek, lecz całego kraju, szkodą nietylko teraźniejszości ale i przyszłości, szkodą niepowetowaną.

Mamy tu na myśli sprawę od kilku lat traktowaną, poruszaną wiele razy w dziennikach i na trybunach publicznych, i która wreszcie po dosyć długich targach Wiednia z radą miasta Lwowa została załatwioną, a obecnie z powodu oszczędności w wydatkach, ugrzęzła od dłuższego czasu w Wiedniu — jest to sprawa utworzenia czwartego gimnazyum polskiego. Rozdzielono gimnazyum Franciszka Józefa, z którego większa połowa młodzieży wraz z gronem nauczycieli przeszła do nowego zabudowania, druga zaś połowa pozostała w zabudowaniu Bernadyńskiem, i istnieje tam dotychczas jako filia wyż wspomnianego gimnazyum. Jest to tylko prowizoryum, a jak wiadomo, każde prawie prowizoryum jest szkodliwe. Szkodliwem to jest tak dla młodzieży jak i dla nauczycieli. Filia ta zakładu naukowego posiadająca klasy kompletnego gimnazyum, a nawet w Iszej klasie paralelną klasę, pomimo że do nowego gmachu przeszły trzy oddziały tej klasy, pozbawioną jest wszelkich przedmiotów naukowych do fizyki, historyi naturalnej i in. Nie posiada biblioteki ani dla nauczycieli, ani dla uczniów. Słowem we wszystkiem musi się zapożyczać z nowego gmachu i do wykonywania doświadczeń fizykalnych nauczyciel musi z uczniami chodzić do głównego zabudowania przy ulicy Halickiej. Rozumie się, że traci się przytem wiele czasu, a nauka cierpi. Dla dyrektora jest to także nadzwyczaj uciążliwem mieć dwa zakłady oddalone od siebie pod swojem okiem. I podziwiać należy dotychczasowe kierownictwo tych zakładów, które jest zresztą w ręku jednego z pierwszych pedagogów, p. dr. Zygmunta Samolewicza, że podołało temu zadaniu. A dla nauczyciela jakaż to jest krzywda. Etat rzeczywistych profesorów jest tylko na jedno gimnazyum — a tu są dwa kompletne — a zatem większa część wypełnia obowiązki swoje za mizerne honoraryum suplenta 50 złr. miesięcznie. Jest to krzywda o pomstę wołająca, bo gdzież można wymagać sumiennego wypełniania tak ciężkiego obowiązku za tak mizerną płacę, i to do tego we Lwowie, gdzie mieszkanie i życie jest tak drogie, że kto z najszczuplejszą rodziną i przy najoszczędniejszej ekonomii w wydatkach nie ma miesięcznego dochodu 100 złr., u tego nędza jest w ciągłej gościnie. Obowiązki nauczycielskie wymagają spokojnego od trosk umysłu, i państwo ze względów oszczędności nie powinno czynić krzywdy ludziom, którym się powierza piecza nad przyszłymi obywatelami.

Zwracamy więc uwagę tych, którzy mogą i mają obowiązek czuwać nad dobrem kraju, aby wpłynęli na przyspieszenie systemizowania IV polskiego gimnazyum we Lwowie. Należy bowiem pamiętać i nie zapominać ani na chwilę, że sprawa wychowania jest u nas najważniejszą i jeżeli się możemy kiedy lepszych losów spodziewać w przyszłości, to tylko w takim razie, jeżeli ich oczekiwać będziemy nie od dyplomatycznych zawikłań, nie od hazardownych stawek politycznych, lecz przedewszystkiem od własnej gorliwej pracy nad odpowiedniem wychowaniem młodego pokolenia.

IWAN GROŹNY

Urywek z powieści historycznej

Kostomarowa „Kudiejar“*)

Zdarzało się już nieraz w historyi, że nieznaczące osady przemieniały się szybko w ludne miasta z bogatemi targowiskami. Mamy przykład na Słobodzie Aleksandrowskicj. Istniała ona od dawna jako przedmieście należące do dworu, gdy raptem car Iwan, wyobraziwszy sobie, że w Moskwie jest gniazdo złoczyńców i spiskowców, zamienił słobodę na carską stolicę. Ulubieńcy cara budowali tam chcąc-niechcąc dwory i domy drewniane: nigdzie w carstwie nie widać było tyle sztucznej rzeźby na oknach, gzymsach i słupach. Jedna z ulic tej słobody wiodąca od rynku do pałacu przybrała tak świąteczną postać, że żadna ulica Moskwy

*) Jest to ustęp z powieści znanego moskiewskiego historyka Kostomarowa, który nazwał ją w oryginale „kroniką historyczną“ ze względu na to, iż oprócz zwykłej fabuły powieściowej wszystkie szczegóły, aż do najdrobniejszych akcesoryj, są ściśle historyczne. Podając ten ustęp charakterystyczny z dziejów moskiewskiej cywilizacyi, przypominamy, iż gdy się w Moskwie działy rzeczy w tym ustępie opisane, u nas siedział na tronie ostatni z Jagiellonów, którego panowanie należy do złotej epoki dziejów polskich. Zamiast jęku torturowanych, rozlegały się u nas pieśni Kochanowskiego, zamiast ucisku religijnego mieliśmy swobodę wyznań, Unią lubelską, zamiast rzezi nowogrodzkiej braci. Zresztą, czytelnik polski z łatwością rozwinąć może kontrast tych dwóch sąsiednich mocarzy, których czynności charakteryzują ducha obu narodów.

Zwracamy przytem uwagę, iż w opisie Kostomarowa nie należy szukać przesady i nienawiści do carstwa moskiewskiego, gdyż powieść ta przeszła przez cenzurę i wydaną została w miesięcznem piśmie „Wiestnik Ewropy“, a pan Kostomarów jest jednym z największych zwolenników obecnego stanu rzeczy w Rosyi.

Dla zrozumienia tego ustępu podajemy w kilku słowach treść powieści. Kudiejar, kozak olbrzymiej siły, miał żonę, którą Tatarzy porwali — i w jassyr uwiedli. Kudiejar poświęca całe swe życie na jej odszukanie i nareszcie dowiaduje się, że wyrwaną została z niewoli, i siedzi w Moskwie. Ustęp podany przez nas rozpoczyna się właśnie w chwili, gdy Kudiejar wracą z wyprawy do Krymu, i prosić ma cara o pozwolenie zobaczenia się z ukochaną żoną.

jej się równać nie mogła; wszystko było tu nowem i nie miało czasu pokryć się błotem. Ulica była wyłożona na pół przepiłowanemi belkami, obróconemi płaską stroną do góry; ten rodzaj bruku drewnianego nie miał jeszcze dość czasu do zgnicia i nie zagrażał nogom ludzi i koni, jak to wszędzie miało miejsce w miastach moskiewskich. Prosto, na końcu tej ulicy, z pod wysokiej wieży z wielkim obrazem na tarczy, patrzyły na podróżnego główne wrota, a przed niemi był most, podejmowany i spuszczany na łańcuchach. Pałac był otoczony rowem na dwa sążnie głębokim i szerokim. Na dnie rowu była woda. Za rowem, od strony wewnętrznej ciągnął się wał ziemny, wzmocniony ścianami z belek z sześcią dwupiętrowemi ceglanemi wieżami. Na środku podworza wznosiła się duża biała cerkiew z pięcioma złoconemi kopułami, a obok niej ciągnęły się mieszkania carskie o wysokich, gontem krytych dachach, pomalowane najrozmaitszemi barwami, z mnóstwem przystawek, ganków i oknami czworobocznemi, których gzymsy pomalowane były w najdziwniejsze wzory.

Starano się wykonać ten drewniany budynek z największą elegancyą; lecz mimo największych chęci upiększenia, robił on wrażenie przygniatające, odpychające, jak to często bywa, że dom postawiony według myśli właścicieli bez wiedzy jego nosi jego piętno i charakter na sobie. Okna carskich pomieszkań, głębokie, wewnątrz wklęsłe, nosiły mimowoli piętno czegoś tajemniczego, złowrogiego. W tym pałacu wszystko, poczynając od kominów sterczących nad różnobarwnym dachem, a kończąc na ceglanych fundamentach zaopatrzonych w małe okienka, kratami zamknięte, patrzyło na przybysza jakoś dumnie i wrogo. Za mieszkaniami był niedawno zasadzony ogród, a za nim długi i niski budynek murowany, wrośnięty w ziemię, o drzwiach żelaznych, do których trzeba było po kilku stopniach na dół schodzić. Dach był ziemią pokryty. W tem zabudowaniu było kilka przedziałów: na skład broni, na salę tortur z piekielnymi instrumentami i na więzienia; zresztą więzienia były nietylko tutaj, lecz i w wieżach i w piwnicach w wale wykopanych, i nawet pod carskiemi komnatami. Całe obszerne podwórze było zabudowane do koła mieszkaniami carskich *opryczników* i licznej służby. Za wałem, który mur otaczał, były dwa strumienie, zwane przez współczesnych piekielną otchłanią, gdyż car topił tam ludzi i rzucał trupy straconych, ponieważ ryby i raki jedząc ludzkie mięso stają się ponoś smaczniejszymi i lepszymi dla stołu carskiego.

Stróże Kudiejara nie opuszczali go podczas drogi ani na chwilę, wiedząc dobrze, iż wiozą do cara zucha, który może się spodziewać, iż nie powróci więcej, lecz nie odbierali mu broni, bo nie otrzymali na to rozkazu. Kudiejar mógł podczas drogi nietylko uciec, lecz i pozabijać ich wszystkich, gdyby tylko zechciał użyć swej siły olbrzymiej. Lecz nie leżało to w jego zamiarach: bez woli cara nie spodziewał się dowiedzieć o miejscu, w którem się Naścia znajduje, a obok tego nie wierzył całkowicie opowiadaniom o dzikości i srogości cara, i przypuszczał, że car oceni widoczne oddanie się jego osobie, gdy się przekona, iż nie chciał on służyć u chana krymskiego, u którego mogło mu być bardzo dobrze, lecz wrócił na służbę do cara chrześciańskiego.

Nareszcie Kudiejar przybył do strasznej Słobody Aleksandrowskiej, i podjechał do wrót pałacowych. Żołnierze na warcie stojący, kazali mu zostawić konie i zdjąć broń ze siebie. Wypełniwszy rozkaz, szedł Kudiejar piechotą, z głową odkrytą do ganku głównego i spotkał tam dwóch ludzi, dziwnie ubranych. Ubrani oni byli w mnisze odzienie z grubej włosienicy, z pod której wyglądały kaftany złotem wyszywane, a za pasami połyskały bogato oprawione rękojeście kindżałów.

— Jam tu przybył — rzekł Kudiejar — z rozkazu jego carskiej wysokości, wielkiego cara gosudara i wielkiego księcia Wszech-Rusi. Ja, Jerzy Kudiejar, powróciłem z jassyru tatarskiego na służbę do jego carskiej wysokości. Kazano mi donieść o sobie kniaziowi Atanazemu Wiaziemskiemu.

— Radziśmy drogiemu gościowi i ze strony dalekiej. Ja to jestem kniaź Wiaziemski — rzekł uśmiechając się przyjemnie jeden z tych, którzy u drzwi stali, człowiek lat około trzydziestu, o ciemnej brodzie i twarzy, która się zdawała dobroduszną.

— Fedko — idź donieś carowi-gosudarowi — rzekł on do towarzysza, chłopaka lat ośmnastu, rumianego, o jasnych włosach i oczach błękitnych, w których tkwił wyraz bezwstydu i bezczelności.

Fiedor Basmanow, który bawił zwykle cara, pobiegł naprzód, za nim poszedł Wiaziemski a za Wiaziemskim szedł powoli Kudiejar. Weszli do sieni obszernej, oświeconej gęsto oknami, w których obok matowych tkwiły szyby różnobarwne: błękitne, czerwone, zielone.

Za kilka minut wszedł car, w towarzystwie dwóch ulubieńców, ubranych po mniszemu, jak Wiaziemski; jeden z nich niewysoki, tłusty, z grubemi wargami i szaremi oczyma, wyrażającemi mięszaninę złości z uniżonością; drugi wysoki, okazały, czarnobrody o twarzy azyatyckiej. Pierwszym był Maluta Skuratow, drugim szwagier cara, kniaź czerkasski Mamstruk Tiemrukowicz. Car miał na sobie żółty jedwabny kaftan, z pod którego wyglądał biały żupan. Na głowie miał czarną czapeczkę, wysadzoną perłami, a na nogach wysokie czarne buty, wyszywane srebrem. Trudno było w nim poznać tego samego cara, którego niegdyś widział Kudiejar: wysechł i wyżółkł; policzki zapadły, kości licowe sterczały mocno ku przodowi. Na brodzie nie było ani jednego włoska, z pod czapeczki także nie widać było włosów; oczy jego biegały strasznie i jakby mimo woli z jednej strony w drugą, wargi drżały, głowa się trzęsła Szedł zgarbiony, przechylając się z boku na bok i opierając się na swym ostrym kiju żelaznym. Twarz jego była taką, że ujrzawszy ją po raz pierwszy, nie wiedzieć było: czy bać się tej figury, czy też się rozśmiać na jej widok.

— Jak się miewasz, jak się miewasz, Kudiejarze — rzekł car, podchodząc do niego i rozszerzając swe drżące wargi w kształcie uśmiechu. — No, jakże się miewa nasz brat, bisurman Dewlet-Girej, chan krymski, twój pan. Tyś... jakżeż to?.. przyjechał od niego z poselstwem.

— Przyjechałem — odpowiedział Kudiejar pokłoniwszy się do ziemi — z niewoli bisurmańskiej na służbę do ciebie, mojego wielkiego władzcy.

— Jaki ja dla ciebie władca! — rzekł car: — tyś przyjeżdżał kiedyś do mnie z psem Wiszniowieckim, a Wiszniowiecki przysiągłszy nam na wierność, uciekł od nas, według swego psiego kozackiego obyczaju. Dowiedzieliśmy się, że powieszono go na haku za żebro, w ziemi tureckiej. — Niech mu to idzie na zdrowie!.. tędy droga i całej jego kozaczyźnie — i tybyś poszedł sobie za nimi... Cha, cha, cha!

— Wielki gosudarze — rzekł Kudiejar — tyś mię obsypał łaskami, dałeś mi majątki w twej ziemi i kazałeś mię wpisać w liczbę sług swoich. Jam twój niewolnik, i oprócz ciebie, jedynego cara prawosławnego, nie ma u mnie pana. Wolno ci, wielki gosudarze, czynić ze mną coć się podoba! Dano mi twój carski ukaz, bym się tu zjawił, i pokazał przed twemi jasnemi oczami.

— Mój ukaz, mój ukaz — mówił car, — tyś przysłał mi prośbę uniżoną z Krymu, prosiłeś, żebym ci pozwolił przyjechać do mego carstwa. No, mówże teraz po co ci do mego carstwa? Tyś tu widocznie przyjechał od naszego wroga, chana krymskiego. A?.. Bisurman pisał do nas, żeś ty mu ocalił żywot i chaństwo. A my ciebie wysłali nie na ratunek jego chaństwa, lecz na wojowanie z jego ciemnem państwem. A ty, wypełniając nasz rozkaz zamiast wojować z krymskim chanem, ratowałeś jego żywot i chaństwo...

Kudiejar starał się wytłomaczyć carowi wypadek, który się przyczynił do oddania usługi chanowi, lecz car mu przerwał i rzekł:

— Ty myślisz, że ja nic o tem nie wiem; twój pan Akmambet, któregoś ty, jak niewierny niewolnik, zdradził, uciekł do nas i wszystko nam opowiedział; przyjął on u nas wiarę chrześciańską i myśmy mu oddali majątki pierwej dla ciebie przeznaczone, bo on zapłaciwszy za ciebie pieniądze stracił je, a z twojej przyczyny stracił także i swoję ojcowiznę w Krymie Więc myśmy go obdarzyli za to, że poniósł straty przez ciebie, niewolnika chytrego i leniwego.

— Wola twoja, wielki gosudarze — odpowiedział Kudiejar. — jam nie był nigdy jego niewolnikiem dobrowolnym, a zawsze byłem i pozostaję twoim, wielki gosudarze. Akmambet chciał zabić swego przyrodzonego pana, a ja, jako wierny swemu panu, sądziłem, iż i inni powinni być wierni swoim panom. I gdybym się dowiedział, że jest ktoś niewierny memu wielkiemu gosudarowi carowi i wielkiemu księciu wszech Rusi, to gdyby on był nietylko moim panem, lecz i ojcem rodzonym, to i jego bym nie pożałował za zdrowie mego gosudara.

— Zuch! zuch! krzyknęli jednogłośnie i Maluta i Wiaziemski i Basmanów, a Mamstruk wydał jakiś nieokreślony, dziki, lecz przychylny głos.

— Dobrze ty mówisz — rzekł car — a u mnie jest wielu złoczyńców, więcej niż u chana krymskiego: zdrajcy bojarowie wy-

pędzili mię ze stolicy, gdzie panowali moi przodkowie i gdzie spoczywają ich ciała; ja, jak sierota tułam się po ziemi, a oni nie dają mi spokoju, ryczą jak lwy, pragną krwi mojej i chcieliby zniszczyć całe moje pokolenie. Złe powzięli zamiary: chcą mnie i syna mego zrzucić z tronu i oddać go wrogowi memu Zygimontowi królowi. Weszli w zmowę z chanem krymskim, by przyszedł ze swą hordą i wygnał mię z mojej ziemi... Chcieli na mym tronie posadzić swego brata, podłego niewolnika, mojego koniuszego. Lecz Bóg nie dopuścił ich do tego, nie z powodu grzechów naszych, lecz za przyczyną modlitw świętych wybrańców kościoła i mocarstwa moskiewskiego! Ot, tak rzeczy u nas stoją. Tyś dawno już nie był u nas i nic o tem nie wiesz.

— Bisurman — rzekł Kudiejar — chciał mi dać majątek w nagrodę, aby dla mnie i mego potomstwa był chleb na wieki, pozwolił wybudować cerkiew według naszej wiary, a ja mu rzekłem: lepiej będę się karmił czarnym chlebem z woli mego pana chrześciańskiego i umrę w jego służbie.

— Zle, żeś się nie zgodził — rzekł car — możeby ci tam lepiej było, niż u nas będzie. No, a przecież pewnie bisurman dał ci coś odjeżdżającemu w drogę, a?

— Dał mi pieniędzy i różnych podarków — rzekł Kudiejar. — Lecz pod Bielewem napadli na mnie rozbójnicy i zabrali konia ze skarbem chańskim. A teraz została u mnie mniej niż połowa tego, co chan darował.

— Oj, czy nie łżesz ty tylko? — rzekł car — możeś gdzie w lesie zakopał: jakto? ty taki siłacz żeś się z niedźwiedziem borykał, a nie mogłeś się obronić od rozbójników?

— Obroniłem się i żyw zostałem — rzekł Kudiejar — lecz nie mogłem odebrać konia, gdyż było ich dużo a bili się ognişcie.

— No, a co dobrego, najlepszego zostało u ciebie z chańskich podarków? zapytał car.

— Wszystko przywiozłem z sobą, a najdroższą ze wszystkiego jest szabla damasceńska. Rękojeść jej z kamienia barwnego z bardzo wielkim szmaragdem i złotym łańcuchem.

— Pokaż — rzekł car.

Poszli po szablę. Car mówił dalej:

— A czy wiadomem ci jest, że łotry chańskie mówili na nas głupie rzeczy, jakobyśmy namawiali ich do zabicia chana?

Kudiejar odrzekł:

— Byłem na dworze chańskim jakby w niewoli, i nic mi nie mówiono, tylko gdy mię chan wyprawiał, rzekł: moi ludzie pletli mi na jego carską wysokość, lecz ich słowom nie wierzę; tylko to powiedział: „przykro mi jest, że car trzyma u siebie mego wroga Akmambeta“. To rzekł chan do mnie i więcej nic nie mówił.

— Przykro mu to? A on sam dlaczego przyjmował moich wrogów i znosił się ze zdrajcami bojarami? Akmambet jest teraz ochrzczonym człowiekiem, nową istotą, a chrzciny — to nowe urodziny. Darowaliśmy jemu twój majątek, lecz ty Kudiejarze nie gniewaj się na nas; obdarzymy cię lepiej jeszcze niż poprzednio.

Kudiejar pokłonił się do ziemi.

(C. d. n.)

PRZYGODA W PODRÓŻY

przez

J. J. Kraszewskiego.

(*Dokończenie.*)

Na nieszczęście nie wzięliśmy parokonnego, pokaźniejszego powozu, ale i z pospiechu i przez oszczędność, skromną jednokonkę. Zadzwonił szwajcar, wyszedł oberkelner, ów absolutny pan życia i śmierci podróżnych. Mina jego już nam nic dobrego nie zwiastowała. Włożywszy ręce w kieszenie oświadczył nam, że hotel cały zajęty i ani kątka dla nas w nim nie ma.

Napróżne były błagania i ofiary, nieporuszony jak skała, wszechwładny pan hotelu zapewniał, iż niesłychanie nad tem ubolewa, że go to do rozpaczy przyprowadza, ale musi nas odepchnąć, gdyż hotel był zajęty. To nam dało do myślenia! Zegar wskazywał pół do dwunastej, woźnica burczał, że wczió nas z końca w koniec miasta po nocy nie ma ochoty. Ledwieśmy go zdołali przekonać, że na bruk nas wyrzucić nie może. Dokąd jechać? Do Donau? Kawał ogromny. — Do Taubera? Nie mieliśmy ani pojęcia o tem, że Europa dopiero w ostatnich trzech tygodniach wystawy Wiedeńskiej opatrzeć się miała, iż ona była godną widzenia i że tłumy zbiegły się nagle zalegając wszystkie kąty. Ruszyliśmy do Taubera, który niedawno temu był pusty. Stój! Oberkelner wychodzi i zapewnia, że wszystko zajęte. Położenie zaczynało się stawać coraz przykrzejszem, a wieczerza coraz problematyczniejszą. Co gorzej, sam nawet spoczynek, tak potrzebny po nocy bezsennej, ulegał wątpliwości.

Szanowny towarzysz mój wpadł na myśl zgłoszenia się do prywatnego mieszkania, które za pierwszą bytnością w Wiedniu zajmował. Było ono po drodze do Donau, a o Donau chodziły już wieści zastraszające, że się tam ani szpilka pomieścić nie mogła.

Jedziemy. Ze Stern Prateru mała uliczka w wiodła nas w spokojne ustronie, miłe, ciche, nic nie zostawiające do życzenia, oprócz lekkiej desynfekcyi. Powietrze czuć było przyszłością rolniczą i gospodarską w najlepszym gatunku. Amoniakalne wyziewy dusiły. A tu — gadano o cholerze właśnie. — Cóż robić, w mieście nie można być zbyt wybrednym, gdzie tylu dysze i wydycha!

Szukamy numeru ósmego! Oto jest! Dzwonienie do bramy! Towarzysz podróży rzuca się w otwarte nareszcie wrota i znika w ciemnościach — milczenie głuche. Chwila oczekiwania z brzaskiem lekkim nadziei.

Zwodnicza! Smutny i pognębiony powraca— ani izdebki, ani kącika, ale obok, niedaleko — Hotel garni. — Biegnę do tego garni z trudnością otwierają — zajęty do strychu. Jutro możeby coś mogło być w expektatywie na poddaszu! W trzecim domu, gdzie miało się znajdować prywatne mieszkanie, odpowiedź aż niegrzeczna! Kto budzi ludzi po nocy! *Saperment!* Dorożkarz śmiejąc się, zapala fajkę.

— E! to jeszcze nic — powiada z krwią zimną, wczoraj jednego pana, który przybył o szóstej, woziłem do pierwszej i nic nie znalazł. Śmieje się dobroduszny wiedeńczyk — rzecz zabawna, ale nie dla nas.

Na hałas, jaki się stał w spokojnej uliczce, otwierają się zewsząd okna, wysuwają głowy w szlafmycach i czepkach, poczciwe ludziska, *gemütlich* przysłuchują się i przypatrują biedzie naszej. Ten i ów coś radzi, inni podkpiwają i śmieją się.

Ulica już i tak nie wonna, napełnia się wyziewami, towarzyszącemi pracy nocnej, nad którą czuwa municypalność. Powietrze chłodne i wilgotne, — północ ponuro wybija na zegarach. Towarzysz mój zrozpaczony dobija się szturmem do dawnej swej gospodyni, wymową wielką serce jej porusza i — dają nam bosą służącę, która na Waschhausgasse u siostry tej pani ma nam wyrobić przytułek. W serca wstępuje znowu nadzieja! Wszystko to na papierze może się komu wydawać zabawnem, ale dla nas poczynało być nad wyraz smutnem. Towarzysz mój nie tyle może o siebie, co o mnie starszego i niezdrowego, był zakłopotanym. Ja zaczynałem nabywać tego humoru wesołego rozpaczliwie, który się rodzi w sytuacyach zawikłanych. Jeździć całą noc po Wiedniu, stukając do drzwi i serc zamkniętych— było wcale nieposolitą przygodą w podróży.

Siostra gospodyni dała się rozczulić, poseł przybył zdyszany oznajmiając, że pokój był, ale— w stanie trochę zaniedbanym.

Jedziemy dalej. Mojem zdaniem należało bądź co bądź korzystać z pierwszego nastręczającego się schronienia, nie narażając się na podróż odkryć w rodzaju kapitana Cooke. Dorożkarz stawał się coraz dokuczliwszym — burczał. Zwróciliśmy więc ku tej przystani, na uliczkę gruzów pełną. *Halt!* stajemy.

Dom wskazany, od góry do dołu okryty rusztowaniem, restauruje się. Wejście doń po deskach, pokładzionych dla murarzy. Powierzchowność nader nieobiecująca, ale z niej sądzić się nie godzi.

Z sieni wchodzimy do kuchenki. Cóż robić! Z kuchenki do familijnego pokoju, w którym sprzęty zruszone z powodu restauracyi, stoją w malowniczym nieładzie. Wśród nich gospodarz w szlafroku. *Excusez du peu*, pan Maksymilian Schiller! Co za imię! Żona jego, typ czysto wiedeński, otyła, pełnych form, w najskromniejszej toalecie, okryta chustką, dwie panny bose z rozpuszczonemi włosami i w równie nieodbitym tylko stroju... Na pierzynach w oddali nadzieje przyszłości różnych lat podnoszą głowy, otwierają oczy ciekawe. Cała rodzina z pośpiechem gorączkowym znosi materace, kołdry, prześcieradła wątpliwego pochodzenia, aby nam usłać łoża w pośród sprzętów zapylonych, wśród najdziwaczniejszego ścisku rzeczy nam niepotrzebnych a zawadzających. Dwie świece na bok w lichtarzach — słabo oświecają tę scenę malowniczą, ale nie wiele dobrego wróżącą.

Towarzysz mój spostrzega, nadaremnie przed nim kunsztownie skrywane oblicze jednego z materaców, którego cera zgrozą go napełnia. — Niepodobieństwo! woła — lepiej jeździć całą noc. — Ba! ale dorożkarz, obdarłszy nas, wyruszył! Opuścili nas stróże, pobrawszy baracze, jesteśmy na łasce rodziny Schillerów, która hałaśliwie przekonywa, że na materacu, który wygląda tak chorobliwie, od urodzenia jego nikt nigdy nie spał, że kołdra była nietkniętą i tylko dla przyjemnej barwy swej kładzioną była na łożu, gwoli ubawienia oczu.

Cóż robić! śmiać się trzeba i przyjąć z ręki losu jego figiel trefny z nami. Ja się śmieję. Towarzysz mój bliski jest rozpaczy. Od Salzburgskiego lekkiego śniadanka nie mieliśmy nic

*

w ustach. Godzin około dwunastu. Gospodarze, oprócz chleba, nie mogli nam nic dostarczyć.

W tem otyłej gosposi przychodzi myśl genialna. Ma maleńki samowarek i — imbryczek czysty. — U mnie w nieskradzionym kufrze znajduje się herbata. Wołamy — Hosannah! myją się szklanki. Małej jednej rzeczy niedostaje — cukru. Zaczynam dowodzić, że zdrowszy jest napój chiński niesłodzony, i że sami Chińczycy go tak zażywają. Smutne oblicze mego towarzysza dowodzi, że nie zdołałem go nawrócić. Chleb i herbata gorąca — ocalone życie!

Ale ochota od jedzenia odpada, patrząc na to, co nas otacza, pościele, z których jedna leży na podłodze... sprzęty, bielizna, a nawet familią Schillerów.

Postrach cholery, chłód nocny zmusza sprobować herbaty... Zabieramy się po niej do snu, drzwi zamknięte — cisza. Lecz wyobraźnia zaludnia pustkę tysiącami stworzeń niebywałych, okazami entomologicznemi, które zdają się wędrować po bieliźnie, grożąc nam pożarciem. Towarzysz mój z heroizmem przezwyciężając wstręt, pada na poduszki, ja na wpół ubrany zajmuję miejsce mi wyznaczone, świecę zostawując na straży bezpieczeństwa.

Cisza głęboka, niekiedy z wnętrza domu słychać tęskliwy głos niemowlątka i chrapanie matron wiedeńskich. Dobranoc. Towarzysz mój zasnął, ale ze zmartwienia i głodu tak głęboko, że spał do siódmej. Ja zabawiałem się myślami i drzemaniem, a sny niedorzeczne, mieszając się z jawą dziwaczną, zupełnie z nią harmonizowały. Brało się na dzień, gdy świeca zagasła. Przez szpary okien wciskał się brzask poranku...

W chwili gdy i mnie sen zmorzył, stało się coś — jakgdyby od trąb jerychońskich mury się walić miały... Stuk, łomot, trzask niewypowiedziany. Zerwałem się równemi nogami.

Murarze weszli byli na rusztowanie dom otaczające i zaczęli obijać tynki w sposób tak brutalny, że mogliby byli przebudzić nawet po tygodniowej bezsenności. Los wysilał się na udręczenie nasze. Szczęściem towarzysz mój nie obudził się aż o siódmej, zdumiony tem, że łoskot, który dopiero teraz usłyszał w początku go nie wyrwał ze snu.

Podnieśliśmy story, jasny dzień oświecił tę pieczarę, w której noc spędziliśmy z musu, Było to coś okropnego. Okna całe tynkiem zbryzgane, sufit popękany, sprzęty grubą warstwą pyłu wapiennego okryte, ruiny — a my wśród nich, z pamięcią o tem, żeśmy się znajdowali w znanej rozkoszy, zbytku i pieszczot stolicy austryackiej. Niepodobna się było nie śmiać z rozwianych marzeń hotelów i wieczerzy!

Ubrawszy się piorunem, nie tykając śniadania, wybiegłem z mocnem postanowieniem znalezienia czegoś znośniejszego. Z kilku hotelów, które objechałem, odprawiono mnie z niczem, aż wreszcie przy ulicy Tabor, w gospodzie bawarskiej, znalazł się kąt niezajęty.

Noclegu tego niepodobna sto lat żyjąc zapomnieć. Wiedeń znaleźliśmy niesłychanie ożywionym, pełnym ludzi. Wiedeńczycy postawili na swojem i doczekali się tych tłumów, które wystawa ściągnąć miała. Teraz obchodzili się z niemi jak ze zwyciężonemi. — Wszystko trzeba opłacać na wagę złota.

SWATY NA RUSI.

(Opowiadanie byłego alumna;)

Humoreska

JANA ŁAMA.

(Dokończenie).

Zaledwie zaczęły się zapusty, pewnego razu, idąc przez miasto, uczułem potrącenie łokciem. Obejrzałem się i ujrzałem spiętrzoną nademną okazałą postać ks. parocha z Lipniczan.

— A co, Żurawiński?—były pierwsze jego słowa

— Ta.... nic! — odparłem

— Ale czy będzie na balu?

— Nie wiem.... jakoś zdaje mi się nie ma ochoty.

— Słuchajno, może jemu potrzeba butów? Ja mu dam pieniędzy!

— Ej, nie, on ma buty—odparłem, nie umiejąc sobie jeszcze wówczas zdać sprawy z patryarchalnej prostoty, jaką tchnęła ta propozycya.

Faktem jest, że nie uśmiechnąłem się nawet, bo też wówczas wcale mi nie było do śmiechu. Drżałem na myśl, że ksiądz gotów mi wetknąć *piątkę*, ażebym ją zaniósł Żurawińskiemu na buty, i malowałem sobie w czarnych kolorach burzę, jaką to wywoła w całem seminaryum. Młodsza dorastająca generacya w wyobrażeniach swoich odbiegła już była wówczas znacznie od starszych, i nie umiała pogodzić się z ich sposobami myślenia i działania w podobnych kwestyach. Muszę tu zwłaszcza dodać, że należałem do kółka „arystokratycznego“ między alumnami, równie jak Żurawiński, tj. do młodzieży pochodzącej z rodzin zamożniejszych, lub co na jedno wyjdzie więcej wykształconych. Mieliśmy przytem innych kolegów, którym prezent pary butów ze strony przyszłego teścia wydałby się był rzeczą nietylko naturalną, ale owszem, bardzo pożądaną.

Na szczęście moje, ksiądz nie obstawał przy swojej ofierze, ale odszedł powtarzając tylko:

— Pamiętajże, abyście byli na balu, i aby był Żurawiński!

Nadszedł nakoniec i wieczór balowy. Kończyłem studya, i potrzeba mi było samemu rozpatrzyć się między pannami, bo nie spodziewałem się zostać biskupem, a sam człowiek nie da sobie rady na parafii, zwłaszcza w jakim odległym zakątku, gdzie świat deskami zabity. Wdziałem tedy strój cywilny, tj. frak i białą krawatkę i poszedłem tańczyć, w nadziei, że wytańczę sobie połowicę. Żurawiński oczywiście nie dał się namówić, ale natomiast towarzyszył mi inny kolega, niejaki Kruchot.

Zaledwie przetańczyliśmy *„perszu trasawyciu“* (pierwszą polkę *tremblante*) — stałem właśnie niedaleko bufetu — gdy uczułem znajome mi już trącenie łokciem.

— A co, jest Żurawiński? zapytał mię ks. Borodajkiewicz.

— Nie, Żurawiński nie chciał przyjść — odparłem zaambarasowany, i ażeby czemkolwiek zabarwić *fiasco* mojej misyi, dodałem bezmyślnie, — ale jest.... Kruchot....

— Kruchot? A czy nie z tych Kruchotów co są w Złoczowskiem?

— Z tych podobnoś....

— Toż daleka moja familia! Przyprowadź-że go tutaj!

Przyprowadziłem Kruchota, oderwawszy go z trudnością od pewnej panny, do której stroił koperczaki.

— To pan Kruchot! zawołał ksiądz, i wyrecytował mu na palcach całe drzewo genealogiczne, z którego wynikało, że rodziny Kruchotów i Borodajkiewiczów złączone są od wieków węzłami powinowactwa, nie tak bliskiemi atoli, by to przeszkadzało zawiązaniu nowych.

— No, napijecie się wina? była konkluzya. Trudno było odmówić. Wino było lepsze, niż pod Czerwonym Jeleniem. Bogu dzięki, nie było go dużo — Bogu dzięki, powiadam, bo i mnie i Kruchotowi spieszno było do panien. Nimeśmy się atoli uwolnili, ksiądz wziął jednego i drugiego z nas za plecy, i obracając nas jednym ruchem potężnych swoich ramion ku sali, rzekł:

— Widzicie, to jest moja córka: ot tam, siedzi pod oleandrem! (Sala przystrojona była oleandrami.) Pamiętajcie, abyście z nią tańczyli!

Kuda tam tańczyli! Kruchot upatrzył sobie już był swoją tancerkę na cały wieczór, a i ja muszę się przyznać do czegoś podobnego. Mam wprawdzie miękkie serce, i żal mi się robiło biednej panny, która ciągle siedziała pod oleandrem (i dosięgała nogami ziemi tym razem), a jako nie zbyt urodziwa, przedewszystkiem zaś niezbyt młoda, ciągle sprzedawała pietruszkę. Ale właśnie ta sama miękkość serca ciągnęła mię w wyższym stopniu w inną stronę, zaś niegodziwy Kruchot w zatwardziałości swojej ani spojrzał na pannę Borodajkiewiczównę. Ksiądz spostrzegł to oczywiście, i przychwyciwszy mię znowu koło bufetu, zapytał:

— A cóż ten Kruchot? pił wino i nie tańczy!

Jak tu się wykręcić od tak kategorycznej interpelacyi? Jakkolwiek kandydat na chrześciańskiego księdza, gotów byłem wezwać na pomoc wszystkie bożki pogańskie, ażeby mi pomogły wybrnąć z kłopotu. Wtem jeden z tych bożków, mianowicie Mars, zesłał w pobliże moje pół tuzina najwaleczniejszych swoich synów, w postaci oficerów c. k. armii. Spostrzegłem między nimi jednego porucznika, którego znałem przypadkiem. Natchniony genialną myślą, udałem, że nie słyszę wymówki księdza proboszcza, i zwracając się ku oficerowi, odezwałem się:

— *Guten Abend; verzeihen Sie Herr oberlieutenant!* Herr Oberlieutenant Waclawiczek — dodałem, robiąc ręką giest ceremonialny — *Geistlicher* Herr *Borodajkiewicz* g. k. *Pfarrer aus Lipniczany*; hat eine sehr schöne Tochter....

— Ja, meine Tochter, zawołał ksiądz, jak w ekstazie. *Sehen Sie? Dort* sitzt, *unter Oleander!*

Szmer admiracyi rozszedł się w gronie wojowników. Potrzeba zaś wiedzieć, że bal ruski jest przeważnie balem *epuzerów*, każdy tańczy z panną z góry upatrzoną i zmówioną, każda zaś panna, uważając tę zabawę z jej realnej i praktycznej strony, tańczy tylko z człowiekiem, który jest na ożenieniu. Oficerowie należą rzadko do tej kategoryi, nudzą

się tedy niepospolicie, nie mając z kim tańczyć. Ztąd wszyscy towarzysze broni p. Waclawiczka, radzi z okazyi, pospieszyli zabrać znajomość z ks. Borodajkiewiczem, który natychmiast kazał podać wina, tym razem, parę butelek, jakoteż cygarów. Wojskowość ma więcej poczucia obowiązku od nas cywilistów — wszyscy więc z kolei dali przedstawić się pannie i wszyscy tańczyli z nią do białego dnia tak zawzięcie, że do mnie i do Kruchota, nie było już żadnej pretensyi, panienka zaś nazajutrz, jeżeli siedziała na oknie pod Czerwonym Jeleniem, z pewnością nie czuła potrzeby *bambalamkania* nogami, bo sadzę, że sprawiła im dość komocyi na balu.

Minęły zapusty, minęła zima, wiosna, lato i jesień, minęło półtora roku.

Z początku, z mimowolną trwogą, przypominałem sobie od czasu do czasu ks. Borodajkiewicza, ale nie widywałem go nigdy, a później ożeniłem się, przybyły mi nowe i gorsze kłopoty, i zapomniałem o tamtym zupełnie.

Aż znowu pewnego razu, idąc ulicą, poczułem trącenie łokciem, które mi przypomniało studenckie czasy, tak jak czasem dawno niesłyszana nuta, albo woń pewna, albo widok pewnej okolicy, pewnych chmur i blasków na niebie, budzi w naszej duszy obrazy dalekiej przeszłości.

— Wiesz? wydałem córkę za mąż! przemówił do mnie ks. Borodajkiewicz.

— A.... za kogo? spytałem machinalnie, z miną nieco zdziwioną z powodu tak horacyuszowskiego, *in mediis rebus*, zawiązania rozmowy.

— Za prowizora w Dziwaczowie! odparł, wpatrując się we mnie, jaki też efekt sprawi ta wiadomość na mojej fizyonomii. Po chwili twarz jego przybrała jakiś wyraz filuternie tryumfujący, przytknął tajemniczo dłoń do ust, i huknął mi w ucho:

— Musiał ją wziąć!

Dlaczego musiał? Ja nie wiem, nie śmiałem bowiem wypytywać o szczegóły. Tylko sądzę, że Żurawiński i Kruchot dziękują niebiosom, że nie *musieli*, sam zaś zachodzę, jak to mówią, w głowę, dlaczego ks. Borodajkiewicz upatrzył we mnie narzędzie, nie zaś cel, swoich niewinnych machinacyi. I zastanowiwszy się nad tem bliżej, jakoteż wziąwszy na uwagę moje potulne, jak powyżej wykazano, ruskie usposobienie, także dziękuję Bogu, że — nie musiałem.

Koniec.

MARYSIA.

PRAWDZIWE OPOWIADANIE WIEŚNIACZKI

przez

ZOFIĘ RUDNICKĄ.

(*Ciąg dalszy*).

— Człowieku bez serca, bez litości i sumienia, za cóż ty ją bijesz, za co karzesz tak okrutnie? Ona niewinna! Potrzeba ci zemsty, mnie zabij! zrobisz mi łaskę. O ja nieszczęśliwy! pocóżem przyszedł? Pójdę, pójdę w świat za oczy, rozbiję głowę o kamień, a ona niech nie cierpi przezemnie!

Pochwycił go za rękę, rzucił mu się do nóg, płakał, łkał jak dziecko małe. — Mnie teraz zabolało, ale strasznie zabolało serce, uczułam się bardzo nieszczęśliwą! Stałam między nimi dwoma, a serce rwało się w kawałki! Wiedziałam dobrze, jak Iwanowi gorzko patrzeć na rozpacz Fedia, i na kochanie moje, które tyle lat we mnie zamrzeć nie mogło! Załamałam ręce, łzy potokiem polały mi się z oczu. Iwan, który nie widział mnie nigdy płaczącej, tylko nad trumnami dzieci, — gdyż jeżeli zebrało mi się kiedy z tęsknoty na cięższą żałość, tom się kryła z tem przed nim, aby mu serca nie ranić, — ujrzawszy mnie teraz we łzach, a nie wiedząc, że ja płaczę z żalu nad nim, nie nad sobą, rzucił pręt, a przypadł do moich kolan wołając:

— Marysiu! ty mi tego nigdy nie darujesz, a mnie jakiś bies opętał, żem podniósł rękę na ciebie!

Jam go dźwignęła z ziemi, a nie mogąc nic mówić, tę rękę, która przed chwilą karała mnie, przycisnęłam do ust, i całowałam ją. Fedio stał ipatrzał na nas, a w końcu wyciągnął obie ręce do Iwana, objął go za szyję i łkając, powiedział: — Ach, tak, pamiętam każde słowo, które powiedział:

— Bracie! dziękuję ci — pójdę teraz znowu w świat za oczy z tą pociechą, żeś ty dobry dla niej! Ale dziś nie wypędzaj mnie ze swojej chaty — niech ja tu przy tobie, niech wam obojgu opowiem, gdziem był, jakiem kraje widział, jakich ludzi, jakie słyszał mowy. Zostawię jej tę pamięć po sobie, bo już mnie na tej ziemi więcej nie zobaczy!

Mówił to wszystko po polsku, pani znają go teraz, to wiedzą, że on zawsze po polsku mówi, a tak pięknie jak z książki czytał! Iwan nic nie mówiąc starł ławę i pokazał mu aby usiadł. I Fedio został prawie do wieczora, zjadł z nami połudenek, pieścił moje dzieci i rozpowiadał nam śliczne rzeczy, gdyż nie tylko był w Ołomuńcu, ale także we Wiedniu, na Węgrzech i w różnych a różnych miastach. Wysłużył dwie kapitulacye i jeszcze dwa lata u swego kapitana został z dobrej woli na służbie. A gdy go Iwan zapytał, dlaczego zapisał się na drugą kapitulacyę, odpowiedział:

— Bom się dowiedział, że Marynia za mąż poszła, nie chciałem już nawet nigdy wracać, sam prosiłem, żeby mnie na urlop nie wysyłali, z czego kapitan, przy którym byłem, był bardzo kontent, gdyż już przywykł był do mnie i nikt mu tak dogodzić nie umiał jak ja, to też gdy już wysłużyłem drugą kapitulacyę, zgodził mnie na służącego do domu, wyżyłem jeszcze dwa lata. Ale tak zapragnąłem w końcu odetchnąć swojem powietrzem, zobaczyć ją, przekonać się czy jest szczęśliwa, zobaczyć wieś swoją, rodzinę, a potem już choćby umrzeć!

Wszystko nam, wszystko opowiadał, bo jak już mówiłam — został do wieczora. Iwan z południa nie poszedł do roboty, gdyż to poszywanie na hurt było zgodzone, więc Fedio miał kiedy choćby dzień po dniu opowiedzieć, gdzie był i co robił, a przecież jednej rzeczy nie powiedział mi aż na trzeci dzień, gdyśmy się zeszli u studni. Ja wyszłam po wodę na wieczerzę, a on przyszedł ze dzbankiem dla bratowej, i tam mi dopiero powiedział, że przez cały ten czas nie miał żadnej kochanki, żadnej kobiety nie uścisnął, żadnej nie pocałował! Jam mu wierzyła i wierzę dotąd, gdyż wiedziałam, ile mnie łez kosztował pierwszy uścisk, pierwszy pocałunek męża!

Każdego dnia wychodzić miał ze wsi, a oderwać się nie mógł. Rodzina nie puszczała go — wiedzieli, że przyniósł pieniądze i to wielkie, bo aż kilkaset reńskich, nie chcieli więc, aby odchodził z tem w świat. On przecież mówił, że pójdzie, bo musi. Ale się to ciągnęło. Raz, pamiętam może we dwie niedziele, przyszedł wieczorem do naszej chaty, — Iwana nie było jeszcze z roboty, nie bronił mu przychodzić i owszem powiedział nawet: „Wolę, abyś tu ją czasem zobaczył w chacie mojej, niż macie widywać się koło studni albo gdzie indziej, żeby ją ludzie jeszcze wzięli na języki.“ Naścia ta sama powiedziała mu, żem z Fediem mówiła przy studni, ale prawda że i Fediowi ona to natenczas dała znać, że mnie Iwan bije. Otóż jak powiadam pani, przyszedł wieczorem i powiada do mnie:

— Marysiu! ja wiem że muszę i powinienem pójść a nie mogę oderwać się od ciebie! Lżej mi będzie, gdy ty mi powiesz: „Idź!“ Jakże ja pani powiem, co mnie się w sercu działo, gdy mi to powiedział, a gdybym nawet i potrafiła powiedzieć, czyż mnie pani zrozumieją? Na to trzeba tak kochać, jakem ja kochała!

Ze łzami w oczach patrzałam na tę kobietę, na której twarzy dziś jeszcze we wspomnieniu odbijała się ta straszna walka serca z obowiązkiem, jaką wtedy stoczyła. Ona popatrzyła mi bystro w oczy i podchwyciła spiesznie.

— Tak! pani mnie zrozumieją. Chciałam mu powiedzieć: Idź, bo tak byłam powinna zrobić, ale usta poruszyły się napróżno, wyraz ten straszny nie mógł wyjść z piersi, zamarł mi w gardle!

On patrzał na mnie, zrozumiał i ulitował się, bo już nie nastawał więcej. Iwan przyszedł, zpochmurniał zobaczywszy go, pokręcił się po chacie, a potem stanął przednim i spytał:

— Przyszedłeś się pożegnać? — i kiedyż idziesz?

Fedio wstał z ławy.

— Wypędzasz mnie? ja pójdę zaraz dziś jeszcze w nocy, ale pomyśl sobie w godzinę śmierci, żeś bardzo nieszczęśliwemu człowiekowi pożałował lichego szczęścia. Bo ty wiesz, jak ja ją kochałem, wiesz że miała być moją, że rodzice jej synem mnie nazywali, a teraz także wiesz, co ja szczęściem mojem mienię: co kilka dni popatrzeć na nią, co kilka dni przemówić do niej! I ty mi tego żałujesz? Tam cię Bóg spyta o rachunek bolu, który mnie zadajesz!

Mówił, głos mu drżał, a oczy świeciły jak dwa węgle, a piękny był jak obraz malowany. Nic się nie odmienił przez tych 18 lat, ludzie mówili, że się postarzał, ale jam tego nie widziała. Iwan zmiękł, czy się Boga nastraszył, czy sobie pomiarkował i żal mu się zrobiło Fedia, ale dosyć że powiedział:

— Ta, ja ciebie nie wyganiam, ale ty sam wiesz, że trzeba ci pójść, nie dziś, to jutro.

— Wiem i pójdę — ale daruj mi dwa, trzy dni, tydzień jeden!

Cóż, to pani już długo opowiadać, tak się zaciągnęło tydzień jeden i drugi — widzieliśmy się czasem na polu przy robocie, czasem przechodząc na drodze, i to zaraz Iwan wiedział, bo mu ludzie dopowiadali, czasem ale rzadko już potem zaszedł do naszej chaty. Zbierał się, ale odejść nie mógł. Dzieci moje hołubił do siebie, zawsze miał dla nich pierniki i obwarzanki w kieszeni, to też gdy go najdalej zobaczyły, biegły do niego, on je brał na ręce i tulił do siebie. Bardzo kochał małego Fedia, bo mówił, że do mnie podobny. — Iwan w tym czasie skończył poszywanie pańskiej stodoły i zgodził się do łupania kamienia w lesie dla liwerantów do drogi.

Było to w szóstym tygodniu od przyjścia Fedia do wsi. Odchodził już za dwa dni, za dwa dni miał przyjść dla mnie ten straszny dzień, nie wiedziałam czy go przeżyję — nie miałam już młodych sił! Chodziłam jak pijana, mało przytomna. Ale Bóg chciał inaczej, zesłał krzyż na mnie, choć nie ten, a ciężki.

Na dwa dni przed wyjściem Fedia przyszedł Iwan z lasu później jak zwykle, nie chciał wieczerzy, nic do mnie nie mówił i ja nie zaczynałam, — nie mogłam. Położył się — jam siadła na ławie pod oknem. Leżał niespokojnie, obracał się z boku na bok, potem zawołał: „Otwórz okno, bo mi duszno.“

Otworzyłam, ale już ogarnął mnie niepokój, przystąpiłam do niego: Co tobie? pytam, a on: Aj słabym — przyłoż mi popiołu gorącego, bo mnie kurcz w piersi bierze, dusi mnie! Odrazu wytrzeźwiałam z żalu, jaki miałam w sercu, zaczęłam go okładać, jak kazał. Pytałam, czy nie każe posłać po doktora, nie chciał, powiedział, że pan Bóg najlepszy doktor. — Tak to było może do północy, jam się już nie kładła. Aż tu raptem jak mu się rzuci krew gębą i nosem, to myślałam, że go od razu zaleje. Przestraszyłam się okropnie, zbudziłam sąsiada z przeciwka, zaczęliśmy go ratować — jakoś się trochę uspokoił.

Nie pytając już wybiegłam z chaty, aby jak najprędzej po doktora posłać. Wybiegłam na dziedziniec i stanęłam: do kogo tu pójść? kto w nocy pojedzie? Myśmy już koni nie mieli, tylko woły, wołami po doktora jechać nie można. Przyszedł mi na myśl Fedio, w ich chacie dobre były konie i wóz kuty. Pobiegłam jak na skrzydłach, stanęłam pod oknem, noc była jasna jak dzień. On spał na ławie pod tem samem oknem. Stuknęłam i zawołałam cicho: Fediu! Zerwał się natychmiast — wszyscy w chacie spali. Wybiegł, zobaczył mnie i ręce załamał. Przeląkł się jak mi potem powiadał — gdyż w rozżaleniu, w jakiem był, bał się sam siebie. Ale jam mu natychmiast powiedziała: Nie odchodź ze wsi, aż się pokaże co się ze mną stanie! I Fedio nie poszedł.

Jak mówiłam pani, dziesięć dni tylko chorował, na dwa dni przed śmiercią wyspowiadał się, a po spowiedzi kazał znowu Fedia zawołać.

Przyszedł, usiadł przy jego łóżku, — biedny Iwan mówił już z ciężkością, a blady był jak to prześcieradło, którem był nakryty. Wyciągnął rękę do Fedia, a głos mu się już rwał w piersi:

— Ja umieram — Bóg sam chciał, że ty przyszedłeś do wsi. — Ja i dzieci moje zostawiam tobie. Po mojej śmierci ona będzie wielką sierotą, moja siostra nie dobra — i jej brat taki sam — nie daj jej krzywdy zrobić.

Zmęczył się i przestał mówić, Fedio trzymał go za rękę, a ja płakałam pod oknem na ławie. — Po chwili zaczął znowu: — Żal mi umierać — jeszcze mi nie czas, ale muszę się tobie ustąpić — tak Bóg chce.

Jam z nią przeżył młode lata, — z tobą będzie do końca życia; — Bóg tak podzielił, ale pamiętaj, żebyś ją kochał i szanował, a dzieci moje niech nie znają sieroctwa!

Nie wiem, co mu Fedio odpowiedział, bom się tak od płaczu zanosiła, że nic słyszeć nie mogłam; ale przyjął ten smutny zapis. (Dod. nast.)

SPRAWA KAZAŃSKA.

przez

Z. O.

(*Dokończenie*).

Merchelewicz, człowiek rozumniejszy od podobnych sobie oficerów, gdy przyjechał do Kazania, wiedząc że poprzednicy pastwieniem się nie wiele wycisnęli z Kazańczyków, zaczął udawać słodkiego i cywilizowanego człowieka, odrzucił gwałty i ostrość, a jak wilk w owczej skórze, tak ów Moskal mile i uprzejmie powitał tych, co się oświadczyli z gotowością przysięgi, i nakazując dopełnić natychmiast formalności, polecił tych siedmiu w masy sołdackie wcielić. Następnie zwrócił się do pozostałych 27 próbując szczęścia na drodze łagodnej. Gdy mu ich przedstawiono, a właściwie przed Merchelewicza przyprowadzono — powiódłszy po nich wzrokiem politowania, odezwał się mniej więcej w te słowa: „Ja wiem, że z was może tylko kilku wie, dla czego to robicie, reszta zaś jest bierną i tylko przykładem upornych prowadzona, bezmyślny opór stawia, narażając się tym sposobem na niepotrzebne cierpienia!“ — a obracając się do 17letniego Bogusławskiego, który najbliżej stał, i dość dzieciakowato wyglądał, dodał: „Naprzykład ty, czy ty wiesz dla czego wzbraniasz się od służby carskiej?“ Bogusławski bez zająknienia odpowiedział na to: „Dla tego, że jestem Polakiem i że cara nienawidzę jako mojego wroga.“ Usłyszawszy generał takie dictum odpowiedział mu z powstrzymywaną złością: „Da, da maładiec wierno iz gimnazi“ — i już nie wdając się w rozmowy z Kazańczykami, odwrócił się do towarzyszących mu miejscowych władz, kazał spisać w protokołach okoliczności i warunki, w jakich pierwsza przysięga na wierność Polsce wykonaną została.

Kazańczycy bardzo dobrze wiedzieli, że na formach zewnętrznych obraca się machina rządu moskiewskiego, że sprawiedliwość, sumienie, zbrodnia i cnota podobnie jak sołdaty mundury, tak one mają swoje formuły, w jakie się zaciskają, powiedzieli zatem, że przysięga, którą w kraju złożyli, *odbyła się w kościele przed wizerunkiem Chrystusa ukrzyżowanego*; wciągnęli to Moskale w protokoły, a dopisawszy jeszcze każdego uprzednie zajęcie, na tem protokół zamknięto i wręczono Merchelewiczowi.

Widać, że Merchelewicz przekonania swego nie zmienił, jakoby tylko kilku wpływało na resztę kolegów, wydał bowiem rozkaz jednocześnie, ażeby pięciu, uważanych, a przynajmniej z wyrazu oczów podejrzywanych o przodownictwo, jako to: Pankowskiego, Bogusławskiego, Ciszewskiego, Majewskiego i Ostrowskiego okuć w kajdany i wrzucić w sekretne więzienia, poczem carski adjutant wyjechał do Petersburga.

Zdawałoby się, że ta sprawa już powinna być zakończoną, gdy wyroki odesłano do konfirmacyi carskiej, inaczej jednakże było w rzeczywistości. Merchelewicz, opuszczając Kazań, polecił generałowi Połtininowi jeszcze używać rozmaitych środków, aby zmusić więźniów do złożenia przysięgi. Połtinin wykonywał ściśle rozkaz, dzień w dzień odwiedzał sekretnie trzymanych więźniów, a gdy w początkach łagodnością do niczego nie mógł doprowadzić, stopniowo grozić zaczął, zakazując w końcu ogrzewać więzienia i nakazując posty.

Po niejakim czasie i ten rodzaj znęcania się ustał, więźniowie go przetrzymali, nie upadając moralnie, choć fizycznie zostali zupełnie zniszczeni. Połtinin znowu się zjawił w sekretnych celach, a odwiedzając każdego pojedynczego więźnia z osobna, zapewniał, że koledzy uleglszy woli najwyższej, wypuszczeni zostali i cieszą się już zupełną swobodą. Gdy to rozpowiadał, był przyjacielskim i obiecywał wszystko. Korzystając z okazywanych dobrych chęci generała, każdy pojedyńczo prosił o pozwolenie wyjścia choć raz na tydzień na dziedziniec dla odświeżenia piersi, lecz i to odmówionem zostało. Odtąd o nic więcej nie upraszali, oddawszy się zupełnie w opiekę ślepego losu, który im przypadł w udziale.

W tym czasie przybył do Kazania nowo mianowany generał gubernator Siemiakin, a rządząc jako mały car na swym tronie według dowolności, udarowywał łaskami poddanych swoich. Te łaski i Kazańczyków dosięgły: siedmiu przysięgłych kazał przetransportować z dotychczasowego pułku na Kaukaz, a sekretnie trzymanych pięciu wypuścić i złączyć z kolegami.

Po tylu miesiącach odosobnionego życia, gdy każdy był pewnym, że wszyscy inni — jak to Połtinin zapewniał — nie wytrzymawszy prześladowań, zmuszeni byli rzucić się w objęcia Moskwy, jakież było zdziwienie i prawdziwa radość, gdy wszyscy jak jeden z tą samą nienaruszoną siłą moralną powitali w sobie dawnych nieugiętych kolegów! Powitanie pomiędzy nimi było prawdziwie serdeczne, braterskie i odtąd skuci węzłami ducha, choć rozdzieleni ciałem, tembardziej nie dali się rozrywać w uczuciach i poświęceniu jeden dla drugiego, jakiemi się wszędzie Kazańczycy odznaczali!

W miesiąc potem nadeszły nareszcie petersburgskie konfirmacye więźniów kazańskich. Zwołano ich przed audytoryat i odczytano jeden ogólny wyrok, który tu w tłumaczeniu podajemy:

„Generalny audytoryat w Petersburgu, zważywszy sprawę politycznych przestępców (tu następują nazwiska), nie sądzi ich za to, że odmówili przysięgi, gdyż zebrana rada Synodu, wezwana do orzeczenia istoty czynu, uznała pierwszą ich przysięgę złożoną w cerkwi przed ołtarzem na wierność Polsce za ważną, że jednak wymienieni przestępcy (nazwiska) wystąpili z bronią w ręku w 1863 r. w charakterze buntowników przeciw prawej władzy moskiewskiej, zasługują z tego

względu na ostrzejszą karę niż zsyłkę w sołdaty, na jakąby tylko wskutek najmiłościwszej łaski monarchy przeznaczeni zostać mogli; generalny audytoryat niniejszym wyrokiem skazuje wszystkich (nazwiska) w katorżne roboty w Sybir każdego pojedynczego na lat szesnaście z pozbawieniem wszelkich praw osobistych i rodowych itd. itd. itd.“

Na drugi dzień wyrok powyższy został przedstawionym do najwyższego zatwierdzenia najdostojniejszego monarchy Aleksandra II. i J. C. mość raczyła własnoręcznie podpisać: „Byt' po siemu.“

Radość ogarnęła wszystkich, zabrano ich natychmiast z dotychczasowych więzień, a odebrawszy im żołnierskie kurtki i przystroiwszy w aresztanckie ubranie i okuwszy w kajdany, odprowadzono byłych rekrutów, obecnie katorżników, do tak zwanego Zamku Peresylnego, zkąd ich we dwa tygodnie później, tj. w końcu czerwca 1865 r., wyprowadzono na Syberyą.

Koniec.

REFORMACYJNO-SPOŁECZNE PRĄDY
w przedrewolucyjnym okresie
XVIII stulecia.

przez

Dra Bolesława Limanowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Te usiłowania prywatne, dążące do podniesienia klas nieuprzywilejowanych w Rzeczypospolitej, znajdowały silne poparcie i gorliwą zachętę w piśmiennictwie naszem. Bardzo zasłużył się w tym względzie *Monitor*, czasopismo wydawane co tygodnia w Warszawie przez ks. Franciszka Bohomolca od 1765 r. Już w pierwszych numerach wzięło w obronę ludzi niższego urodzenia i nawet uważało to za swój obowiązek. „Ta część—powiada *Monitor*—nierównie większa, braci naszych, która nam służy, nie ma nawet tego dla siebie względu, aby mogła powiedzieć, co jej dolega. Milczenie i cierpliwość im zostawione, nam wszystko wolno, i jakbyśmy z natury przeznaczenia i doskonałości inszego wcale rodzaju byli stworzeniem, w nierównym i uciążliwym podziale nam wolność do wszystkiego, im cierpliwość tylko i milczenie zostawiliśmy, i ledwie im być ludźmi pozwalamy. Wziąć ich stronę i otwierać oczy nielitościwych panów, jest to bronić prawa ludzkości i najcelniejszych ustaw przyrodzenia“. *) Zajmuje się to pismo gorliwie sprawą mieszczan, przedstawiając, że z tego stanu nie można dojść do niczego; dowodzi przytem konieczności utworzenia średniego stanu i potrzeby manufaktur i rzemiosł. W 1767 r. poświęca kilka numerów z kolei sprawie poddanych, rozważając „uciążliwe, niesprawiedliwe powinności poddanych i tyranią nad temiż“, oraz przemawiając za ich „zaczynszowaniem“.

Jak we Francyi, a zwłaszcza w samym Paryżu, rozprawy o swobodzie i równości z salonów przenikały na ulicę i pomiędzy pospólstwo; tak i w Polsce świadomość krzywdy, jaką wyrządzano stanowi miejskiemu i kmiecemu, zaczęła wnikać w głębiny ludowe. Dostrzegamy tego rozmaite ślady, a głównie przebija się to w suplikach, podawanych przez włościan do władzy dominialnej. Wielce ciekawą jest suplika Turczyńska, którą znaleziono w 1767 r. na ołtarzu po jarmarku św. Trójcy w Turczynie (miasteczko o kilka mil od Warszawy odległe) Lubo nie podzielam w zupełności zdania ks. Lubomirskiego *) jakoby owa suplika była głosem samych poddanych; lecz w każdym razie trzeba przyznać, że służy ona za ważną wskazówkę, iż dola ludu znajdowała już wtedy szczerze i namiętnie sprzyjających jego interesowi rzeczników. Z jednej strony czytamy w niej ostre osądzenie istniejącego stanu rzeczy, a z drugiej widzimy potęgujące się pragnienie równości społeczno politycznej. Odzywa się w niej już dość silnie nuta rewolucyjna. Przypomina suplika szlachcie, że poddaństwo jest pogwałceniem prawa przyrodzonego, że szlachta nie jest innego pochodzenia, jeno tego samego, co i włościanie, wskazuje na niebezpieczeństwo, jakie może ściągnąć niewola ludu wiejskiego na samych jego panów; wreszcie groźnie zapytuje: „Gdzie taka nędza chłopa jak w Polsce“? i wzywa wszystkie gminy do jedności w działaniu. Suplikanci czyli raczej przemawiający w ich imieniu rzecznicy, domagają się wolności osobistej, przyznania gruntów kmiecych na własność i nadania praw politycznych, ograniczając się wprawdzie na początku żądaniem przypuszczenia czterech przedstawicieli gminu do rady publicznej, wszakże snuje się im już po głowie myśl o wszechwładztwie ludowem. Za przyznanie powyższych praw suplikanci w imieniu włościan powiadają, że „przeciw nieprzyjaciela wiary i ojczyzny pomoc przyrzekamy po jednemu z każdego łanu.“ Pod supliką tą znajdujemy także ciekawy podpis, który brzmi jak następuje: „Poddaństwo koronne przy wierze i wolności skonfederowane.“ Nabiera ona tem większej wagi w naszych oczach, że w rok potem w krwawej rzezi Humańszczyzny i Smilańszczyzny sprawdziła się częściowo zawarta w niej zapowiedź grożącego niebezpieczeństwa szlachcie ze strony ujarzmionego poddaństwa.

Pierwszy ważniejszy krok w rozciągnięciu prawa nad włościaninem wypadł—jako się rzekło — w 1768 r. Po upływie jeszcze ośmiu lat sprawa już na tyle dojrzała, że zrozumiano potrzebę staranniejszego obwarowania praw ludności miejskiej i kmiecej. „Konstytucya roku 1768 — jak słusznie zauważał Wybicki — zdała się znieść grzywny, a życiem za życie karać wola jej podobno była, przecież świat się zadziwi, że podług tego samego prawa, pan by tyle mógł ludzi zabić co mu się podoba, a jednak życia swego uzywałby złoczyńca.“ **) Zostawiając bowiem sposób dochodzenia zabójstwa podług Statutu litewskiego, tem samem odbierano postępowej sejmowej uchwale wszelką doniosłość. Przytem straszna klęska, która spadła w tym przeciągu czasu na naród, także zmuszała go do zastanowienia się nad wadliwym stanem ustroju społecznego. Już na sejmie delegacyjnym smutnej pamięci 1773 r. jako wyrzut sumienia szlacheckiego i jako przestrogą na przyszłość należy uważać głos posła Oraczewskiego. Przedstawiwszy, jaką jest niedola włościan, z oburzeniem zawołał: „Przecież to ludzie! wszystko, co mamy, przez nich mamy; często potrzebniejsi od nas społeczności a ledwie żyjący pod naciskiem chciwości i nieludzkości. Pierwsze dobro człowieka ich ręku dzieło. Wszystko, co naszym wynalazkom, wygodom, potrzebom a nawet i wymysłom dogadza, ich ręku dzieło.“ Żądał więc postanowienia pośredniczącej władzy „między rolnikiem pożytecznym a tym, co panuje, tj. między człowiekiem i człowiekiem, prawa ludzkości.“ Przemówienie to jednak nie miało realnego skutku. W tym samym roku w Wilnie ks. Karpowicz podczas kazań jubileuszowych pobudzał szlachtę do skruchy i przemawiał za koniecznością złagodzenia losu rolników przykutych do ziemi. Wszystko to wpłynęło na to, że na sejmie 1776 r. polecono byłemu wielkiemu kanclerzowi, Andrzejowi Zamojskiemu, ażeby „sprawiedliwość naturalną zawsze biorąc za pierwszy przedmiot“, utworzył nowy kodeks praw i zachował w nim z dawnych wszystko, „cokolwiek zamierzanemu przez nas ulepszeniu sprawiedliwości nie znajdzie przeciwnem.“ Król Stanisław August pierwszy zrobił tę propozycyą. I był to dzień uroczysty, w którym się lud, *liberum veto* lubiący, jednomyślnie do jego skłonił woli; gdy wspólna zgoda Zamojskiego do praw działania wybrała, by niemi walący się wstrzymał kraj cały.“ [1])

Andrzejowi Zamojskiemu pomagali w pracy jego: Krzysztof Szembek, biskup płocki, Joachim Chreptowicz, Michał Węgrzecki, Antoni Rogalski, Grocholski. Józef Wybicki był sekretarzem, a nadto swoimi „Listami patryotycznemi“ przygotowywał opinią do przyjęcia nowych reform. „Na dwa stany ludzi podzieliliśmy się—powiada —jeden w nieumiarkowanej wolności, drugi w nieumiarkowanej postanowiwszy niewoli i nędzy. Do pierwszego szabli wszystkie zaszczyty, bezczynność i sama się moc wyrządzania gwałtów przywiązała; do drugiego sochy krwawą przyłączywszy pracę, ledwo mu imię człowieka zostawiono. Nie było, skądby mógł powstać *Stan trzeci ludzi*, który przemysłem i handlem ożywia rolnictwo, zasila państwo.“ [2]) Skreśliwszy uciążliwe rolnika poddaństwo, dowodzi, że jest ono również rzeczą krzywdzącą dziedziców, i powołuje się w tem na korzyści, jakie wypłynęły z oczynszowania włościan przez Zamojskiego, Brzostowskiego i Chreptowicza. Lecz przedewszystkiem siła i bogactwo państwa muszą zyskać na zniesieniu niewoli poddańczej. Wybicki i inni ówcześni publicyści (autor dziełka: „O poddanych“, Staszic t. d.) uważają brak ludności w Polsce jako jednę z najsłabszych stron Rzeczypospolitej i mniemają, że da się ona usunąć tylko przez uwolnienie włościan, gdyż idąc za zdaniem Rousseau i Hume'a, przekonani są, że najlepszym znakiem szczęścia ludu jest jego wzrost liczebny. „Wszystkie wasze prawa—powiada Wybicki do szlachty — populacyi sprzyjać powinny. Inaczej mimo układy i rozporządzenia najmędrsze, bez sił, skarbów i powagi będziemy, bo to wszystko ludność szczególnie zjednywa i daje.“ [3]) Naostatek autor „Listów patryotycznych“ uspokaja szlachtę, dodając, że wolność chłopów nie ma oznaczać zrównania ich stanu ze szlacheckim, jeno rozciągnięcie opieki ustaw państwowych nad ludnością kmiecą. „Niech na czele nowego praw zbioru tu dawnych Rzymian położona będzie ustawa Patricii soli sacra civiliaque agunto, plebei agros colunto. Niech wieśniak zawsze będzie rolnikiem, ale niech go do rolnictwa sprawiedliwość i własność zachęca, niech mu stan jego uczyni się miłym.“ [4]) (C. d. n)

---

*) Str. 19 1967. Nr. 26 z 1765 r.

*) Ks. Lubomirski opisał tę suplikę szczegółowo w dziełku: „Rolnicza ludność w Polsce od XVI. do XVIII. stul. przez T. X. L. Warszawa. 1862. Str. 43—50.

**) Str. 331. Listy patryotyczne.

[1]) Str. 64 i 65. Listy Patryot.

[2]) Str. 238. Listy Patr.

[3]) Tamże, str. 114.

[4]) Str. 263. Listy patr.

O LOTERYI LICZBOWEJ

na podstawie rachunku prawdopodobieństwa

napisał

Antoni Fogt.

Każdemu pożądanemu lub spodziewanemu przez nas wypadkowi towarzyszą dobre i złe okoliczności, czyli sprzyjające i przeciwne. Pierwsze usiłują sprawić, aby wypadek oczekiwany nastąpił, drugie zaś się temu sprzeciwiają i starają się wywołać wypadek inny, zupełnie pierwszemu przeciwny. Między wypadkami jedne są takie, które za przeważeniem dobrych lub złych okoliczności bezwzględnie są pewnemi lub bezwzględnie niemożebnemi, których nastąpienie matematycznie daje się obliczyć i na pewno naprzód przepowiedzieć; inne zaś są tego rodzaju, że w jednym i drugim razie mogą nastąpić lub nie, a od stosunku sprzyjających i przeciwnych okoliczności zależą tylko o tyle, iż można poznać czy więcej czy mniej ich spodziewać, albo inaczej, czy możebniejszem jest nastąpienie wypadku pożądanego, czy przeciwnego. Np. mogę obliczyć i na pewno powiedzieć czy kto przeskoczy rów danej szerokości, czy przepłynie rzekę, czy pies złapie zająca itp. A nie mogę zaś naprzód twierdzić np. czy zgadnę w której ręce trzyma ktoś gałkę białą, a w której czarną; czy z talii kart wyciągnę kartę oznaczonego koloru np. czerwienną; czy np. 15go czerwca następnego roku będzie deszcz czy pogoda itp.

Pierwszego rodzaju wypadki należą do nauki matematyki i fizyki, drugie zaś do nauki o *prawdopodobieństwie*, na podstawie którego zamierzamy właśnie pomówić nieco z naszymi czytelnikami o grach, a w szczególności o loteryi liczbowej, która nie jednego tak dużo ciężko nieraz zapracowanego grosza kosztuje, tyle sprowadziła zawodów i rozczarowań, tylu wpędziła w ręce lichwiarskie, pozbawiła mienia i do ostatecznej doprowadziła nędzy. Nie pomagają tu nic Orlicowie, senniki i żadne obliczenia, tak uczone jak i nieuczone. Zawsze okazuje się, że grosz wyrzucony został na próżno, tak po pierwszem ciągnieniu, jak po drugiem, trzeciem itd., a nawet w ciągu całego życia upragnione szczęście się nie zjawia.

Sądzimy, że czytelnicy poznawszy zasadę, na której polega loterya liczbowa i nauczywszy się obliczania trudności, jaką ona przedstawia w wygraniu, przyjdą do przekonania, że lepiej jest poszukać szczęścia w pracy i oszczędności, jak w loteryi i innych grach. Nim jednak przyjdziemy do loteryi liczbowej, musimy się pierw poznać na prawdopodobieństwie, jego stopniowaniu i mierzeniu i zastosować je do gier mniejszych, łatwiejszych do zrozumienia i naocznego sprawdzenia.

Wyraz *prawdopodobieństwo* jest w naszej mowie zupełnie zrozumiałym. Stopniowanie zaś tego prawdopodobieństwa polega na obliczeniu się ze sprzyjającemi i przeciwnemi okolicznościami pożądanemu wypadkowi. I tak, gdy sprzyjające okoliczności przeważają, mówimy, że jest wielkie prawdopodobieństwo, znaczne, bardzo wielkie, nadzwyczaj wielkie, bliskie pewności, i nareszcie gdy są wszystkie dobre tylko okoliczności, a ani jednej złej, mówimy, że jesteśmy pewni pożądanego wypadku; to znów, gdy przeciwne okoliczności przeważają, mówimy, że jest małe, bardzo małe, nadzwyczaj małe, i nareszcie prawie żadne, gdy liczba złych okoliczności względnie do liczby dobrych jest zbyt wielką. Np. mając 80 ryb, z których każda miałaby objętości jeden sześcienny centymetr, gdybym je włożył do naczynia z wodą o objętości stu sześciennych centymetrów, to bardzo byłoby prawdopodobnem, że zanurzywszy w tej wodzie np. palec wskazujący, trafię na jednę z tych ryb. Byłoby zaś to trafienie mniej prawdopodobnem, gdybym te same ryby włożył do naczynia o objętości tysiąca centymetrów sześciennych, a nadzwyczaj małem byłoby prawdopodobieństwo, gdybym je włożył do stawu i nareszcie prawie zupełnie żadnem, gdybym je puścił do morza.

Skoro więc prawdopodobieństwo może być większe lub mniejsze, to musi być dla niego jakaś miara, tak jak dla każdej innej ilości, o której nabieramy dopiero wtedy jasnego wyobrażenia, gdy ją zmierzymy znaną nam miarą czyli jednością. Muszą się więc i stopnie prawdopodobieństwa dać wyrazić liczbami odpowiedniej mu miary lub jej częściami. Postarajmy się zatem wynaleźć tę miarę.

Wyobraźmy sobie, że liczba sprzyjających okoliczności ciągle rośnie, a liczba przeciwnych tyleż razy się zmniejsza, to nareszcie przyjdzie do tego, że prawdopodobieństwo zamieni się na zupełną pewność. Więc dopóki nie jest ono pewnością, to musi wynosić część lub kilka jej części, zupełnie tak samo, jak kiedy nie mamy w kieszeni całego reńskiego, to mamy część lub kilka jego części; a jak mało u naś znaczy milionowa np. część reńskiego, tak też mało powinna znaczyć milionowa część pewności.

Łatwo już teraz zrozumieć, że oznaczywszy pewność przez liczbę 1, stopnie prawdopodobieństwa będą się wyrażały liczbami mniejszemi od jedności czyli ułamkami. Jeżeli więc ułamek będzie mało różny od jedności, to prawdopodobieństwo będzie wielkie, gdy zaś ułamek będzie bardzo mały jak np. 0·000001, to i prawdopodobieństwo będzie bardzo małe. Musimy się więc teraz tylko zastanowić, jak wynaleźć ułamek dający wyobrażenie o wielkości prawdopodobieństwa przy danych okolicznościach. Nauczymy się tego z następujących przykładów.

Wyobraźmy sobie, że mamy w woreczku np. 90 gałek, między którymi są białe i czarne, i przyjmijmy, że wyciągnięcie gałki białej znaczy wygranie, a czarnej przegranie, czyli że białe są sprzyjającemi wygraniu, zaś czarne przeciwnemi i uważajmy, jak się będzie zmieniać możebność wygrania ze zmianą liczby gałek białych względnie do liczby czarnych.

1) Przypuśćmy najpierw, że wszystkie gałki są białe, to koniecznie musimy wyciągnąć białą, czyli z pewnością wygrać, której to pewności znakiem jest liczba 1. Liczbę zaś 1 otrzymamy, dzieląc 90 przez 90, tj. $\frac{90}{90} = 1$.

2) Gdyby było pół białych i pół czarnych tj. po 45, to rozumie się, że nie mielibyśmy już teraz całej pewności wygrania, lecz tylko pół ($\frac{1}{2}$). Ułamek zaś $\frac{1}{2}$ otrzymamy, dzieląc 45 przez 90, tj. $\frac{45}{90} = \frac{1}{2}$.

3) Podzieliwszy 90 na 5 części, to każda będzie wynosiła 18. Więc gdyby było białych gałek 36 tj. dwa razy po 18, czyli dwie piąte części, to mielibyśmy też tylko dwie piąte ($\frac{2}{5}$) części pewności, tj. mniej jak w poprzednim razie. Ułamek zaś $\frac{2}{5}$ otrzymamy, dzieląc 36 przez 90, tj. $\frac{36}{90} = \frac{2}{5}$.

Widzimy już z tych przykładów, iż aby otrzymać ułamek dający wyobrażenie o wielkości prawdopodobieństwa wygrania, musimy podzielić liczbę gałek białych przez liczbę wszystkich, czyli stosując do wszystkich innych wypadków, trzeba podzielić liczbę sprzyjających okoliczności przez liczbę wszystkich, tj. tak sprzyjających jak i przeciwnych. Np. w poprzednim przykładzie o rybach, sprzyjające okoliczności stanowi liczba centymetrów sześciennych wszystkich ryb tj. 80, a przeciwne, liczba wyrażająca objętość naczynia. I tak: gdy naczynie posiada 100 centymetrów sześciennych objętości, to mamy $\frac{80}{100} = \frac{4}{5}$, jako prawdopodobieństwo, że trafię na rybę. Gdybym je zaś włożył do naczynia o objętości tysiąca centymetrów, to byłoby: $\frac{80}{1000} = \frac{2}{25}$. Gdybym zaś puścił te ryby do morza, to ponieważ liczba centymetrów sześciennych wszystkiej wody morskiej względem 80 jest nieskończenie wielką, przeto 80 podzielone przez tę liczbę nie da żadnej prawie wartości, czyli że prawdopodobieństwo trafienia wtedy na rybę jest żadnem.

Nie trudno nam teraz zrozumieć, że dzieląc liczbę okoliczności przeciwnych przez liczbę wszystkich, otrzymamy prawdopodobieństwo przeciwne pożądanemu przez nas wypadkowi, a sprzyjające wypadkowi przeciwnemu. Np. gdy było gałek białych 36, mieliśmy na prawdopodobieństwo sprzyjające wygraniu, ułamek $\frac{2}{5}$, ponieważ zaś wtedy było czarnych 54, przeto dzieląc 54 przez 90, otrzymamy na prawdopodobieństwo przeciwne albo sprzyjające przegraniu, ułamek $\frac{3}{5}$. Podobnie w przykładzie drugim o rybach, tj. gdy naczynie ma objętości 1000 centym. sześciennych, mieliśmy na prawdopodobieństwo trafienia na rybę, ułamek $\frac{2}{25}$. Ponieważ zaś wtedy reszta objętości naczynia tj. 920 centym. sz. przedstawia okoliczności przeciwne, przeto mamy na prawdopodobieństwo przeciwne $\frac{920}{1000} = \frac{23}{25}$. Dodawszy do siebie $\frac{2}{5}$ i $\frac{3}{5}$, jak również $\frac{2}{25}$ i $\frac{23}{25}$, otrzymamy w sumie 1, tj. suma z prawdopodobieństwa sprzyjającego i przeciwnego, równa się zawsze jedności. Prawdopodobieństwo przeciwne, jak widzimy, można od razu otrzymać ze sprzyjającego, odejmując licznik od mianownika i podpisując ten sam mianownik. Aby się dowiedzieć ile razy łatwiejszem jest wygranie jak przegranie, czyli ile razy możebniejszem jest nastąpienie wypadku pożądanego od przeciwnego lub odwrotnie, trzeba tylko podzielić jedno prawdopodobieństwo przez drugie. Np. dla trafienia na rybę mamy prawdopodobieństwo $\frac{2}{25}$, zaś przeciwne, $\frac{23}{25}$. Dzieląc teraz $\frac{23}{25}$ przez $\frac{2}{25}$, otrzymamy $11\frac{1}{2}$, czyli że 11 i pół razy łatwiejszem jest nietrafienie jak trafienie. Lecz to samo otrzymalibyśmy, dzieląc wprost 920 centm. sz. przez 80, czyli że dla dowiedzenia się ile razy łatwiejszem lub trudniejszem jest nastąpienie jak nienastąpienie pożądanego wypadku, trzeba podzielić liczbę sprzyjających okoliczności przez liczbę przeciwnych, lub odwrotnie.

Ponieważ rozumiemy się już teraz na prawdopodobieństwie i na jego mierzeniu, przejdziemy do rzeczy, prowadzących do loteryi liczbowej. (C. d. n.)

ZBURZONE GNIAZDKO.

W gęstwinie, pod listków osłoną,
Gniazdeczko uwiła ptaszyna,
Co puchu dać mogło jej łono,
Co ziółek, mchów wonnych, dolina,

To wszystko nań znosząc skwapliwie,
Moszczeniem dzień cały zajęta,
„Tu spocznę“ — marzyła wciąż tkliwie,
„Tu moje wychowam pisklęta!“

„Ztąd, z słońca powrotem, ku wiośnie,
Na chwałę macierzy, natury,
Me piosnki, me trele, miłośnie,
W przejrzyste ulecą lazury!
Tu wreszcie, gdy z czasu przebiegiem,
Starości obarczy mnie brzemię,
Tu kiedyś, z jesienią, pod śniegiem,
Snem cichym, na wieczność zadrzemię!“

Gdy marzy, gdy roi tak ptaszę,
Świegocąc nad gniazdkiem skończonem,
Widnokrąg się w chmury opasze,
Błyskawic się zatli milionem;
Grom runie z niebieskiej wyżyny,
Mijając sąsiednich drzew tyle,
W gniazdeczko ugodzi ptaszyny,
W zniszczenia pogrzebie je pyle!

Ach! — któż z nas, by był ktoś, nie wierzę —
W młodzieńczych widzeniach przyszłości,
Ach! któż z nas, i ufnie i szczerze,
Nie klecił też gniazdka miłości?
Ach! któż z nas w tem gniazdku ze skrzętem,
Nie składał na marzeń kobiercu,
Co zacnem, co czystem, co świętem,
Co młodem i ciepłem miał w sercu?

I wieluż wybranym w istocie,
Los na niem radością popłużył?
I wieluż grom klęski w przelocie,
Ich pracy przedwcześnie nie zburzył?
I wieluż w sędziwych lat porze
Pociechy z swych dozna piskląteк?
I wieluż dasz koniec, mój Boże!
Tam, kędyś im zesłał początek?

J. S. Chamiec.

CZARNE INDYE.

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

(Ciąg dalszy).

XIII.

Miasto węgla.

W trzy lata po wypadkach powyżej opowiedzianych liczni turyści, zwiedzający hrabstwo Stirling znajdowali w *Przewodniku po Szkocyi* Murraya zalecenie, aby poświęcili kilka godzin czasu na obejrzenie kopalni węgla w Nowej Aberfoyle, jako miejscowości zasługującej na „szczególniejszą uwagę.“

Rzeczywiście, na całym świecie nie było i nie ma drugiej kopalni, któraby również ciekawy przedstawiała widok.

Przedewszystkiem — co nie jest bynajmniej rzeczą drobnego znaczenia — zwiedzający dostać się mógł z wszelką wygodą i bez żadnego niebezpieczeństwa na samo miejsce eksploatacyi, to jest o półtora tysiąca stóp pod ziemią.

W odległości bowiem siedmiu mil na południo-zachód od Callander, szeroki, skośny tunel, pysznie ozdobiony przy wejściu wieżyczkami i blankami, prowadził po łagodnem pochyleniu wprost do owego labiryntu pieczar tak cudownie wyżłobionych we wnętrzu szkockiego lądu.

Na podwójnej linii szyn wagony popychane siłą hydrauliczną obsługiwały co godzina mieszkańców założonego pod ziemią miasteczka, noszącego, być może, cokolwiek pretensyonalną nazwę *Coal-city*, to jest „Miasto węgla“.

Coal-city oświetlone było za pomocą elektryczności, gdyż studnie przewiewne, jakkolwiek w znacznej urządzone liczbie, nie mogły zapewnić wystarczającej ilości światła dziennego. Mnóstwo zatem świateł elektrycznych zastępowało w Nowej Aberfoyle nieobecność tarczy słonecznej, a umieszczone, czy to pod sklepieniami, czy też na filarach rozdzielających pojedyńcze groty, światłonośne tarcze, — w kształcie większych lub mniejszych słońc — zasilane były bezustannie czynnemi maszynami elektro magnetycznemi. W chwilach tylko przeznaczonych na spoczynek dość było przerwać prąd elektryczny, aby całą kopalnię w zupełnych pogrążyć ciemnościach.

Wszystkie owe większe i mniejsze przyrządy, funkcyonowały w próżni, to jest, że świetlane promienie ich nie pozostawały w żadnej styczności z okrążającem powietrzem. Dzięki takiej ostrożności, nawet w razie gdyby kopalnia przepełnioną była gazami palnemi, nie zachodziła najmniejsza obawa wybuchu — elektryczność też była motorem wyłącznie używanym do wszystkich potrzeb, tak w gospodarstwie domowem, jak i przy eksploatacyi kopalni.

Przedewszystkiem wypada nadmienić, że przewidywania inżyniera Starr — pod względem obfitości nowej kopalni — okazały się zupełnie usprawiedliwionemi. Bogactwa pokładów węglowych były niewyczerpane. Pierwsze roboty rozpoczęli górnicy w zachodniej części podziemia, w odległości jednej ćwierci mili od Coal-city, siedziba przeto robotników nie znajdowała się w środkowym punkcie kopalni. Szyby powietrzne i wydobywalne stanowiły bezpośrednią komunikacyą pomiędzy robotami wewnętrznemi kopalni i zewnętrznemi; wielki bowiem tunel kolejowy służył tylko dla ruchu osobowego.

Przypominają sobie zapewne czytelnicy oryginalną strukturę owej olbrzymiej jaskini, w której stary oberman zatrzymał się wraz z towarzyszącemi mu osobami podczas pierwszej swej wycieczki do nowej kopalni. Po nad głowami ich wznosiło się łukowate sklepienie, a podtrzymujące je filary, dochodziły do trzystu stóp wysokości — wysokości równającej się prawie rozmiarom „katedry Mammuta“ w grotach Kentucky.

Wiadomo, że w „katedrze Mammuta“, — największej ze wszystkich podziemi amerykańskich — z łatwością pomieścić się może pięć tysięcy osób. Jaskinia w Nowej Aberfoyle, o której mówimy, zajmowała takąż samą przestrzeń i podobny miała rozkład. Zamiast tylko cudownych stalaktytów „katedry“, oko zatrzymywało się tu na połyskliwych żyłach węgla, zdających się wytryskiwać, pod naporem łupku ze wszystkich ścian jaskini. Rzekłbyś, że to szklista powłoka, której pojedyńcze blaszki płoną w ogniu elektrycznego słońca.

W środku jaskini rozlewało się jezioro, nieustępujące pod względem swych rozmiarów Martwemu morzu w grotach Mammuta; jezioro to, w przezroczych głębiach którego roiły się masy ryb bezocznych, inżynier Starr nazwał jeziorem Malcolm.

W tem to miejscu Szymon Ford zbudował nowy swój folwark, którego nie zamieniłby za najpiękniejszy pałac na *Princes-Street* w Edymburgu. Folwark wznosił się nad brzegami jeziora i pięciu oknami swemi spoglądał na czarne jego wody niknące w ciemnościach bez granic.

W dwa miesiące później obok folwarku starego obermana powstał drugi budynek. Było to mieszkanie inżyniera Starr, który duszą i ciałem poświęcił się dla nowej kopalni. Tylko interesa największej wagi, wymagające koniecznie jego obecności na powierzchni ziemi, mogły skłonić go od czasu do czasu do krótko trwałych wycieczek na świat podsłoneczny, gdzie oddalony od zwykłych swych zajęć czuł się w obcym zupełnie żywiole.

Skoro nadeszła chwila otwarcia kopalni, wszyscy dawniejsi jej robotnicy pospiesznie opuścili pługi i brony, ażeby powrócić do ulubionego kilofu i motyki. Zachęceni prócz tego pewnością, że teraz nie zabraknie już nigdy roboty, i zwabieni wysoką zapłatą, jaką administracya była w możności ofiarować im wobec nadzwyczaj korzystnej eksploatacyi — nie wahali się przenieść z rodzinami swemi do wnętrza kopalni, z samej już przyrody zapewniającej im wszelkie możliwe dogodności.

Domy te górników, zbudowane z cegieł, wznosiły się malowniczo, jedne po nad brzegami jeziora Malcolm, inne znów w obszernych zagłębieniach, stanowiących niejako boczne nawy podziemnej katedry. W ten sposób wszyscy robotnicy, wyłącznie do zajęć w samej kopalni przeznaczeni, jakoto: rozbijający skały, kopacze i przewoźnicy węgla, cieśle budujący nowe chodniki, zasadzacze, obowiązani zapełniać kamieniami miejsca próżne po wybranym węglu, dróżnicy, cała służba kolejowa, a wreszcie obermani i inni dozorcy robót zamieszkali w Nowej Aberfoyle, dając początek miasteczku Coal-city, położonemu pod wschodniemi krańcami jeziora Katrine, w północnej stronie hrabstwa Stirling.

Był to więc rodzaj wioski flamandzkiej, rozrzuconej nad brzegami jeziora Malcolm. Kaplica, założona pod wezwaniem świętego Idziego, wznosiła się nieco powyżej na olbrzymiej skale, kąpiącej swe stopy w nurtach podziemnego morza.

Zbytecznem byłoby zapewniać, że mieszkańcy Coal-city dumni byli ze swojej siedziby. Bardzo też rzadko wydalali się z kopalni, idąc w tym względzie za przykładem Szymona Ford, który, jak wiadomo, nie opuszczał jej nigdy. Stary oberman twierdził, że „na górze“ ciągle deszcz pada, co, zważając na zmienny klimat Szkocyi, nie bardzo mijało się z prawdą. Dodać przytem należy, że i nie mieli za czem tęsknić do świata; w ciągu trzech lat upłynionych doszli już do takiej zamożności, o jakiej przy poprzednich swych zajęciach nawet marzyć nigdy nie mogli, i wiele też było wypadków, że dzieci zrodzone już po rozpoczęciu eksploatacyi w Nowej Aberfoyle ani razu jeszcze nie były na powierzchni ziemi.

Jakób Ryan zwykł był z tego powodu żartobliwie ubolewać nad niemi:

— Biedne istoty — mawiał — półtora roku już minęło jak przestały karmić się piersią matki, a dotąd jeszcze światła dziennego nie oglądały! —

Wypada nadmienić przy tej sposobności, że Jakób był jednym z pierwszych, którzy przybyli na wezwanie inżyniera. Uważał on za święty obowiązek, powrócić do dawnych swych zajęć. Folwark Melrose utracił więc jednego z najlepszych robotników, swego urzędowego spiewaka i kobziarza. Nie idzie zatem, aby Jakób Ryan miał przestać spiewać. I owszem; wyspiewywał jeszcze głośniej a potężne echa Nowej Aberfoyle chętnie wtórowały mu kamiennemi swemi płucami.

Jakób Ryan ulokował się w nowym folwarku Szymona Ford. Ofiarowano mu jeden oddzielny

pokoik, który on przyjął bez wahania i pozornych skrupułów, jako przyjacielską gościnę. Stara Madge lubiła go za jego otwarty charakter i zawsze wesołe usposobienie. Podzielała przytem do pewnego stopnia zapatrywanie się jego na kwestyą duchów, mających zamieszkiwać w kopalni i niejednokrotnie, zostawszy w domu we dwoje, opowiadali sobie nawzajem przerażające historye, godne pomieszczenia na kartach hyperborejskiej mitologii. Obecność Jakóba ożywiła zbyt poważnych zwykle mieszkańców folwarku, zresztą był z niego chłopak poczciwy i dzielny robotnik. W pół roku po rozpoczęciu robót został dozorcą w jednym z oddziałów kopalni.

— Bodajto uczciwa praca! — mówił do Szymona, w kilka dni po swojej instalacyi. — I pan możesz sobie powinszować, żeś odkrył nowe pokłady, chociaż o mało nie straciłeś życia przy tej wyprawie.

— Masz słuszność, Jakóbie — odpowiedział oberman — i wierzaj mi, że odkrycie to nie takiej nawet warte było ofiary. Ale bądź przekonany, że ani pan Starr ani ja nigdy nie zapomnimy, że tobie mamy do zawdzięczenia, iż pozostajemy jeszcze przy życiu.

— Ależ gdzie tam! — odparł Jakób. — Nie jest to wcale moją zasługą tylko Henryka, ponieważ on to przyjął moje zaproszenie na uroczystość irvińską...

— I nie przybył na nią — czy tak? — przerwał Henryk, ściskając rękę przyjaciela. — Nie, Jakóbie, tobie, wyłącznie tobie tylko zawdzięczamy, że sam nie wyleczony jeszcze zupełnie, pospieszyłeś, nie tracąc ani chwili czasu, odszukać nas prawie już umierających z głodu w przepaściach ziemi.

— Otóż, raz jeszcze powtarzam, że nie i nie! — obstawał przy swojem zdaniu uparty Jakób. — Muszę was wyprowadzić z błędu! Co do mnie, mogłem być tylko wiedziony ciekawością, aby przekonać się jak najprędzej, co się z tobą stało; ale żeby oddać każdemu sprawiedliwość, muszę wyznać, że gdyby nie ten niepochwytny chochlik...

— Oho! — zawołał Szymon Ford — jest znowu i chochlik!

— Chochlik, czy dyablik, grom czy dusza pokutująca, jaki sylf — wnuczek dziewic ognia, czy sam Urisk nawet, — nazwijcie go jak się wam podoba! Ale to pewna, że gdyby nie on, nigdybyśmy nie zdołali dostać się do galeryi, z której wy nie mogliście się wydobyć!

— Bezwątpienia — odpowiedział Henryk.— Wypada tylko przekonać się, czy to rzeczywiście była istota nadprzyrodzona, jak ty utrzymujesz.

— I ty jeszcze możesz powątpiewać o tem?! — zawołał Jakób. Ależ powiadam ci, Henryku, że to tak samo jak gdybyś chciał wątpić o istnieniu błędnych ogników, co świecą ci tuż przed oczyma, a gdy już masz je złapać, znikają jak senna mara! Nie bój się, mój kochany, zobaczymy go tu nieraz jeszcze, to się przekonasz!

— I owszem, Jakóbie — rzekł Szymon — chętnie go i sami poszukamy, ale ty musisz nam w tem dopomódz.

— Nie radziłbym panu próbować takich rzeczy — odpowiedział Jakób — można się w niemiłą sprawę wplątać.

— No, no, zobaczymy, mój chłopcze; niech się tylko zjawi ten chochlik...

Łatwo się domyśleć, że rodzina Ford, w krótkim stosunkowo czasie, obznajomiła się dokładnie z całą Nową Aberfoyle. Henryk zwłaszcza zbadał najtajniejsze jej zaułki i przesmyki. Doszedł nawet w tym względzie do takiej wprawy, że z łatwością umiał oznaczyć, jakiej miejscowości na powierzchni ziemi odpowiadał ten lub ów punkt kopalni. Wiedział, że nad temi pokładami ciągnęła się zatoka Clyde, nad tamtemi jezioro Lomond — tam znowu jezioro Katrine. Te filary stanowiły podstawę gór Grampian, na tem sklepieniu wznosiło się Dumbarton — po nad tym rozległym stawem przechodziła linia koleji Balloch — po nad inną znów komorą kończyły się wybrzeża Szkocyi a zaczynał ocean, szum którego wyraźnie dawał się słyszeć podczas gwałtownych burz przy wiosennem i jesiennem porównaniu dnia z nocą...

Jakże też kochał on tę swoją, jedyną, Nową Aberfoyle!... Ileż razy, z lampką przy kapeluszu, zapuszczał się w najgłębsze jej tajniki! Zwiedzał stawy i jeziora na małej łódce, którą doskonale umiał kierować; polował nawet, mnóstwo bowiem dzikiego ptactwa, jak bekasy, kaczki i t. p. przebywało ciągle w podziemiach żywiąc się rybami, których miejscowe wody obficie dostarczały; oczy zaś Henryka, przez ciągłą wprawę, tak oswoiły się z ciemnościami, jak wzrok marynarza sięgający najdalszych krańców horyzontu.

Do wycieczek tych wszakże skłaniała go przeważnie niczem nieprzeparta nadzieja odszukania owej tajemniczej istoty, za przyczynieniem się której uniknął wraz z rodzicami swemi niechybnej śmierci. Czy mu się powiedzie ten zamiar? wewnętrzne jakieś przeczucie mówiło mu, że tak; jakkolwiek dotychczasowe poszukiwania okazywały się zawsze bezskutecznemi.

W takim stanie znajdowały się rzeczy w chwili, kiedy powracamy do przerwanego przed laty trzema wątku opowiadania.

Nie należy sobie wyobrażać, że nawet w pierwszych zawiązkach *Miasta węgla* podziemni jego mieszkańcy pozbawieni byli wszelkich przyjemności, i zniewoleni do prowadzenia monotonnego życia.

Bynajmniej. Ludność miejscowa, złożona z osób oddanych jednemu zajęciu, jednakowego usposobienia i prawie znajdujących się w takim samym stanie zamożności, stanowiła niejako jedne wielką rodzinę. Znali się wszyscy, przestawali z sobą i rzadko kiedy dawała się im uczuć potrzeba wydalania się na zewnątrz.

Zresztą w każdą niedzielę wspólne przechadzki po kopalni, wycieczki na łodziach po stawach i jeziorach stanowiły bardzo przyjemną rozrywkę.

Często również nad brzegiem jeziora Malcolm rozlegały się dźwięki kobzy. Wówczas ze wszystkich stron zbiegali się ochotnie Szkoci na wezwanie narodowej muzyki, rozpoczynano tańce, a Jakób Ryan, przybrany w strój swego klanu, bywał zwykle królem takiej improwizowanej zabawy.

Z tego wszystkiego wreszcie wypływał — zdaniem Szymona Ford — ten oczywisty wniosek, że *Miasto węgla* mogło już śmiało rywalizować ze stolicą Szkocyi, tem biednem miastem wystawionem na mrozy zimy, upały lata i wszystkie zmiany szkaradnego klimatu, z ową stolicą, co wiecznie zakopcona dymem licznych swoich fabrycznych kominów, tak słusznie zjednała sobie nazwę „Starego kopciuszka.“ *)

*) Auld-Reeky, przezwisko ludowe starego Edymburga.

ZABYTKI PRZEDHISTORYCZNE
W LUBIENIU I OKOLICY.

Korrespondencya.

Bawiąc od dni kilku w kąpielach w Lubieniu, zbadałem okolicę pod względem archeologicznym. Odkryłem cmętarzyska w sąsiednich wsiach: Porzeczu zadwornem, Zaszkowicach, Zawidowicach i Humieńcu; lecz te wszystkie dziś zaorane i zasiane nie dozwalają dokładniejszego zbadania. Daleko przystępniejszym jest sam Lubień. W miejscu gdzie stał gród wołosko-ruski *Lubyn* czyli *Hubyn* zwany, o którym wspomniałem już w odczycie monografii Lubienia, mianym podczas wycieczki towarzystwa przyrodniczego im. Kopernika do Lubienia, przekonałem się ze znalezionych w tem miejscu na powierzchni ziemi pozostałości, zdradzających daleko wcześniejszą przeszłość, iż w tem miejscu było początkowo cmętarzysko pogańskie. W miejscu tem istnieje od lat przeszło 50 kamieniołom, dostarczający materyału do ścielenia dróg rządowej i krajowej, a tuż przy niem folwark dworski Gurowszczyzną zwany. Po dwudniowem szperaniu uzbierałem nieco materyału archeologicznego, kilka popielnic niestety pokruszonych, gdyż czarnoziem nadzwyczaj tłusty, przeniknął całkiem naczynia te wilgocią, i dziś za dotknięciem się, w kawałeczki się rozpadają. Pomimo tego udało się mi wydobyć cało kilka mniejszych naczyń, dwie łzawniczki i małą popielniczkę. Oprócz tego znachodzi się tu mnoga ilość obrobionych krzemiennych nożów, strzałek, skrobaczy, z których też niektóre odłamy wydobyłem z ziemi, także mały okrągły klinek krzemienny, ozdóbkę okrągłą z białego krzemienia, znalezioną przy popielnicy, okruchę młota krzemiennego z czerwonego piaskowca i inne drobiazgi. W wielu miejscach ziemia przepalona przekonywa, że tu palono ciała. Cmętarzysko, na którem znalazłem popielnicę, posuwa się z miejsca wolnego w głąb pola włościańskiego, dziś jęczmieniem zasianego. W wielu innych miejscach okruchy czyli czerepy starożytnych naczyń, zdradzających się swym wewnętrznym składem, przekonywają jak najdobitniej, że cała przestrzeń zajęta dziś pod kamieniołom, była niegdyś cmętarzyskiem, co stwierdzają też włościanie pracujący około łamania kamieni, którzy w miejscu tem dawniej podobne naczynia, kule i noże krzemienne, obrączki brązowe i srebrne i inne tym podobne starożytności znachodzili.

Na tem niegdyś cmętarzysku, jako punkcie najwynioślejszym w Lubieniu, zbudowano później gród Lubyn, na którym po zniszczeniu go przez Daniela, księcia halickiego, w wieku XIII, jako opustoszonem miejscu powstało dworzyszcze za czasów polskich tak zwanych panów z Lubynia czyli Lubienia.

Zabytki tego dawnego dworzyszcza spostrzegać się dają dotąd jeszcze w tem miejscu w głęboko w ziemię idących fundamentach i murach ceglanych, z wierzchu do dwóch stóp ziemią urodzajną pokrytych. Oprócz tych wydobyłem w gruzach dworzyszcza niektóre ułamki kafli z odciskami herbów, napisów i rozmaitych innych ornamentacyj, także okruchy szkła, dawnych wilkomów, łyżkę cynową, podstawę puhara i niektóre inne drobiazgi. Byłbym w tem miejscu dalsze czynił poszukiwania, lecz żal mi żyjątek, które się w niem zagnieździły. Jaskółki, tak zwane brzegówki, porobiły sobie w tem miejscu nory gniazdowe, gdzie właśnie siedząc na jajach, spło-

szone, z największym wrzaskiem okrążyły mię, dopominając się, żebym ich siedlisk nie burzył.

Zagadkowem zjawiskiem jest także znaleziony w tem miejscu okruch kielicha dwa decymetry wysoki a 1' szeroki, mający na zewnętrznej powierzchni wtłoczenia, jakby jakowe napisy historyczne. Okruch ten wart bliższego naukowego zbadania. Uwagi godne są też znalezione w tem miejscu dwa ułamki porcelany, prawdopodobnie z filiżanek, z malowaniem niebieskiem. Wyrób porcelany jak najczyściejszy, prawie przezroczysty, do szkła podobny, przypomina nam dawne fabrykaty tego przemysłu.

Także uwagi godne są tutejsze ułamki z urn, kolorową powłoką powleczone, przypominające nam, że już w czasach przedchrześciańskich używano farbowane naczynia nie tylko do użytku, lecz także do okraszenia urn. Slady podobnych wyrobów znachodziłem już w kilku miejscach wschodniej Galicyi, pod Rohatynem, Bóbrką, a nawet we Lwowie na Wysokim zamku. Znaleziono je także w Wasylkowcach pod Husiatynem.

Wydobyte tutaj naczynia gliniane czyli popielnice i łzawnice są nadzwyczaj cienkie, wypalane, wewnątrz koloru ciemnego. Sciana zewnętrzna górna powleczoną jest jakowąś inną materyą, zabarwioną glinką, po większej części czerwoną lub czerwoniawą. Wielkość naczyń urnowych czyli popielnic sięga 3 metrów i 4 centim., szerokość w górze u otworu 1 metr i 7 milim., u podstawy 2 metry., w wypuknięciu 3 metry. Wydobyta w całości popielniczka mała jest 1 wysoką, 2 metry 6 centm. szeroką u pęku, a 1 metr u podstawy. Niektóre wydobyte przezemnie naczynia mają uszka, inne zaś bez uszek, kilka zaś bez żadnej pękatej formy, w kształcie puharu.

Kształt naczyń wydobytych w Lubieniu przesuwa się wzdłuż całego podniestrza od Halicza począwszy przez wzgórza pod Wojniłowem, Żurawnem, Martynowem, Mikołajowem, Humieńcem, Gródkiem, kończąc się niby na Wysokim zamku, gdzie podczas sypania kopca podobne znachodziłem naczynia. Wszystko to przemawia za tem, iż za śladem tych naczyń lub ich okruchów dojść można do przekonania, że całą podaną tu w przybliżeniu okolicę zamieszkiwał niegdyś jednolity szczep słowiański, lub przynajmniej posuwał się przez wysoczyzny tutejsze z południa ku północy lub prawdopodobnie przeciwnie.

Miejsce, gdzie odkryłem cmętarzysko lubieńskie, było więc zarazem siedliskiem ówczesnego narodu zamieszkującego ziemię tutejszą. Ogromne jeziora i bagna otaczające od wschodu i zachodu tę wysoczyznę, na której siedlisko to istniało, czyniły je zarazem bezpiecznem od napaści nieprzyjaciela. Najbliższem sąsiedniem podobnem siedliskiem jest od południa Humieniec, a od północy Małkowice, czyli tak zwana dziś *Cudowna góra* w Małkowicach; dalej mogiła Artyszczowska, dziś całkiem znikła; znana góra gródecka; wzgórza Dobrostańskie; Biłohorszcze, a nareszcie sam Wysoki zamek.

Bliższe zbadanie tych punktów sprawdziło by moje domniemywania, i przyczyniłoby się nie mało do wyjaśnienia naszej zagadkowej przeszłości.

Lubień dnia 24 lipca 1877.

Ant. Schneider.

Piśmiennictwo polskie.

(*„Apostołowie," krytyczny rzut oka na poemat T. Lenartowicza, przez A. G. Bema.*)

Muza religijna bardzo licznych ma u nas przedstawicieli, a jako pierwowzór poezyi lirycznej jest dziejową alfą poezyi w ogóle. Kto by chciał pisać jej historyą, musiałby cały skarbiec wieszczych natchnień przejrzeć, każde dzieło poetyckie karta po karcie, wiersz po wierszu odczytać. Wszyscy bo prawie piewcy nasi, od Zygmuntowskiej do Mickiewiczowskiej epoki, pisali modlitwy, psalmy, hymny, melodye biblijne, pieśni, lub natchnione uczuciem ascetycznem i myślą wniebowstępną obrazy. W płodach tych przeważa naturalnie pierwiastek liryczny; mimo że dość jasno niekiedy w zakres przedmiotowej poezyi wkraczają. Ponieważ jednak oparta na wierze kontemplacya ożywia zarówno pieśń, jak legendę lub dramat religijny, wskutek czego wszystkie lepsze próby nabierają bez względu na formę, pewnej podmiotowej przezroczystości, to zwykły podział poezyi na epos, lirykę i dramat dla utworów tej gałęzi zaledwo jakąkolwiek ma wagę. W każdym natomiast z płodów muzy teologicznej odróżnić należy ściśle to, co narzucają stalowe ramy dogmatu, od tego, co mimowolne uczucie i swobodna podyktowała refleksya. Niekiedy wprawdzie natchnienie artystyczne z literą pisma św. lub innej poświęconej ustawy serdeczny, zupełny sojusz zawiera; zdarza się to jednak w lepszych utworach nadzwyczaj rzadko, bo oryginalność poety nawet na utartym gościńcu podań teologicznych umie sobie zawsze jakąś nową wytknąć ścieżynę. W utworach więc, wyszłych z pod pióra mistrzów, mimo całej prawowierności przeważać będzie swobodny polot fantazyi; podczas gdy pobożny, lecz bez wyższego talentu wierszopis zamknie się bojaźliwie w zaklętem kole dogmatu, który go niby od obowiązku twórczych pomysłów uwalnia. Drugim względem, który nam szczególniej przewodniczyć powinien przy ocenie poematów mistycznych treści opisowej, jest miara *pożytku moralnego*, określająca się czysto ludzką donioślością utworu. Jesteśmy ludźmi, nic zatem dziwnego, że i śród błękitnej archanielskich uniesień krainy chcemy widzieć nasz świat ludzki; a gdy się mamy pod wodzą jakiego Danta w zaziemskie przenosić sfery, to pragnęlibyśmy prując myślą modre fale eteru, wstępować ciągle po zielonych konarach wyrastającego z szarej ziemi drzewa... O ile więcej zatem autor poematu religijnego pamięta co winien życiu i społeczeństwu, o tyle efekt wywarty, pożytek moralny, wartość utworu i wdzięczność nasza jest większą. Z takiego stanowiska zapatrując się na rzeczy, przystępuję do oceny obranego w danej dziedzinie poematu.

Fragment „Apostołowie" *) przedstawia osamotnioną przez śmierć mistrza drużynę wielkich pokorą i miłością uczniów Chrystusowych w zetknięciu z ujarzmionym przez Rzymian Judzkim narodem. Poemat dzieli się na dwie części, z których pierwsza o wiele pod każdym względem przewyższa drugą. W pierwszej na tle ciemnem snują się pełne majestatu i życiowej barwy wizerunki ludzi, pracujących i walczących w imię „królestwa bożego na ziemi;" w drugiej tło się wyjaśnia... obrazy bledną, a grupy ludzkie, otulone obłokiem świętości, w widmach nikłych unoszą się w niebieskie przestworza. Wieszcz mazowiecki dał nam w „Apostołach," galeryą poetyckich płaskorzeźb, przypominających misterne rzeźbienia Teofila artysty, wiązankę akordów malowniczych, jednolitych a spólną owianych myślą.

Pan umarł... Judea w „nieprzedzierzgnione mgły się owiała." Śród suchych łanów, zapadłych w gruzy miasteczek, śród syku wężów i wycia szakali:

„Po nad bramami Jerozolimy,
Gdzie nieustannie *tłukły się* dymy,
Po nocach jęk się rozchodził głuchy,
Jakby pobitych proroków duchy,
Niosąc swe wielkie księgi otwarte,
Śpiewały straszną zniszczenia kartę."

„Fałszywi sędzie, faryzeusze," podczas tych żałobnych godzin, wielkiem wspomnieniem ciężkich, wielką tajemnicą brzemiennych, „senni, straszyli przeciągłem wyciem." Dzień nie był wtedy dniem: każda noc, schodząc, zostawiała po sobie ołowianą szatę mroków.

„Na jednę tylko nadmorską chatę
Słońce łagodną lało oświatę,
Na jednę tylko, śród nocy mrocznej,
Upadał promień gwiazdy przezrocznej."

Była to chata Maryi, miejsce zebrań apostolskich. Tu się kończy pierwszy obraz, pełna proroczego zapału, głębszej myśli i kunsztownej prostoty przygrawka. Cóż naturalniejszego nad to spółczucie dla cierpień ludzkich, jakim w fantazyi wieszcza matka, przyroda oddycha? Któż w jasnej lub ponurej chwili życia otoczeniu swemu własnych nie przypisywał wrażeń. Gdy nam się życie na krótkie mgnienie oka uśmiechnie, czyż nie ścielemy jedwabnej przędzy urojeń do koła siebie, czyż gwoli swej dumnej ofierze usłużna siła fantazyi nie gotowa wtedy czarnej ulicy na błoń kwiecistą zamienić?.. A gdy znów rani nas zbytnio cierń żywota, czyż mimo całego, jakim rozporządzamy rozsądku, najpiękniejsza śród kwitnącego gaju pogoda, świetność gmachów i salonów, nie wydadzą się nam zimą, nędzą lub stęchlizną grobową? Na tem stanowisku złudzeń stoi poeta, który jako człowiek i chrześcianin, potrafił w wysokim stopniu przejąć się myślą chrześciańską i prawdą dziejową. Cierpienia ludzkości, cierpienia uczniów Chrystusowych, tych pierwszych wyobrazicieli duchowego postępu zjednoczonych ludów, stały się osobistemi niemal cierpieniami wieszcza. Wprawdzie księgi starego i nowego zakonu bogate są w przenośnie mające swe źródło zarówno w ogólnie ludzkiej skłonności psychicznej, jak i specyalnem usposobieniu Judzkiego narodu; ten tylko jednak zaczerpnięte z ksiąg prorockich lub widzeń apokaliptycznych obrazy w całej potędze słowa oddać potrafi, kto się niemi przejmie, kto je miłośnie z tajemnem źródłem gorętszych natchnień spokrewni. Owo zaś silne przykucie natury do rydwanu cierpień ludzkich tylko wtedy czytelnika uderzy i płomieniem zajmie, gdy wieszcz nie z karty biblijnej i nie zimnym inkaustem, ale z żywej księgi własnego serca i własną krwią pisze. Ciemna strona obrazu w malowanej przygrawce Lenartowicza, dość wyraźnie przypomina „melodye biblijne„ Kornela Ujejskiego*)

„I rzekł Jeremiasz: gdzież są wojownicy?
Gdzieś ty o królu, gdzie twoi hetmany?
Czy i w twej piersi, tkwią wrogów oszczepy?

*) Patrz: Poezye Teofila Lenartowicza. Wydanie drugie. Warszawa, 1859, część I, od str. 68 do 91.

*) „Jeremiasz",

A w tem nietoperz z przełomu ciemnicy,
Wyleciał piszcząc i tłukł się o ściany,
I rwał się w pętach, jak Judzki król ślepy.

Większa tu nieco może, niż u Teofila śmiałość porównań; ale nasz poemat bardziej zakrawa na epos malarskie, a mieszcząc w sobie kilka świetnych plastyką, kolorytem i antytezą rzutów, w szczerszych nierównie zamyka się ramach. We wstępie już, gdzie mrok pokrywa ziemię, a słońce na jedno tylko ludzkie ustronie „łagodną leje oświatę“ czuć głębokie tchnienie Dawidowego hymnu, czuć siłę proroczych wieszczeń. Do chaty rybackiej dąży drużyna apostołów, a nad ich głowami unosi się skrzydlate przeczucie duchowego przejrzenia:

„W jednym dniu może, w jednej godzinie
Jasny gołąbek nad niemi spłynie,
I tym lękliwym doda otuchy,
I tym nieukom da wielkie duchy,
I tym prostakom da stery ludu,
I tym najmniejszym da siłę cudu.“

Nie wiem doprawdy, czemu tu wprzódy bić pokłon: czy książęcej prostocie słowa, czy kunsztownej gradacyi wyobrażeń? Lecz oto rozsnuwa się tkanka artystycznych pomysłów i oglądamy obaz o tyle od pierwszego wspanialszy, iż występują tu już w silnem przeciwstawieniu dwa tłumy ludzkie, dwa narody... Tam główną rolę odgrywa przyroda, owo kryształowe, jakby nazwał poeta, ducha naszego zwierciadło: tam garstka apostołów mleczną ścieżyną *tylko niepostrzeżenie* ku chacie rybackiej pomyka, w tym drugim natomiast obrazie, natura niby sługa milknie, a pan jej, człowiek zbiorowy przemawia:

„Jednego ranka, gdy niespodzianie
Słońce nad morskie wstało otchłanie,
I rozjaśniło morskie sklepienia,
Jak niegdyś w pierwszej chwili stworzenia
Na chwałę Panu, za dzień pogodny
Zabrzmiały trąby i organ wodny,
I do bóżnicy lud ciągnął tłumny,
Lud najtrudniejszy, bo wiarą dumny!
A szedł tak gęsto, jak mgła ku niebu,
Jak starych czasów na głos z Horebu.
Aż pretor baczny, a niespokojny,
Pchnął środkiem miasta swój legion zbrojny,
Bo nie dowierzał pontiks otyły,
By taka rzeszka nie miała siły;
I przeciągały wśród ludu fali,
Co chwila nowe roty Itali,
Na ciężkich koniach, zbrojni w połowie,
Z urągowiskiem, jako panowie,
I najeżdżali z miną wzniesioną
Na pierzchające pacholąt grono,
Na starce, które niewiasty wiodły,
Wrzeszcząc na naród: roju ty podły!
A Herod książę, jakby na zgodę,
Uśmiechał usta i głaskał brodę.“

(Dok. n.)

Piśmiennictwo niemieckie.

Gauss. Ein Umriss seines Lebens und Wirkens. Von F. A. T. Winnecke. Braunschweig: Vieweg.

Briefe zwischen A. v. Humboldt und Gauss. Herausgegeben von K. Bruhns. Leipzig: Engelmann.

Varda von G. Ebers. Stuttgart und Leipzig: Hallberger. 3 Bände.

Ollanta. Peruanisches drama aus der Inca-Zeit. Nach I. I. von Tschudi's wörtlicher Verdeutschung metrisch bearbeitet von Albrecht Graf Wickenburg. Wien: Rosner.

Goethes Briefe an Soret herausgegeben von Herman Uhde. Stuttgart. Cotta.

Skizzenbuch. Lieder und Bilder. Von Paul Heyse. Berlin: Hertz.

Russische Revue. Monatschrift für die Kunde Russlands. Jahrg. VI. Hft. 4. St. Petersburg: Röttger.

Stuletni jubileusz wielkiego matematyka, Gaussa, wywołał w Niemczech dwie publikacye, nie wielkie wprawdzie co do rozmiarów, lecz bardzo zajmujące co do treści. Jedną z nich jest krótki szkic działalności i życia Gaussa, napisany przez Winneckego, drugą korespondencya między nim a Humboldtem, z dodatkiem nie wielu listów pisanych do innych osób. Gauss umiał połączyć najściślejszy umysł naukowy z śmiałością i oryginalnością w zastosowaniach. Był on więcej niż zwykłym mężem nauki, znał dobrze literaturę i, według słów biografa, okazywał ogromne zdolności finansowe. Listy Humboldta są po większej części okolicznościowe, i pisane głównie w celu rekomendowania jakiegoś *protégé*. Zwykle są one zabarwione jakąś anegdotką, lub innym jakim ustępem wychodzącym po za zakres spraw specyalnych. Dowiadujemy się z nich naprzykład, że król Fryderyk Wilhelm II. pisał swe prywatne pamiętniki literami sanskryckiemi, że car Mikołaj nienawidził Humboldta i że *Quarterly Review* napadła na niego z powodu obserwacyi magnetyzmu słonecznego w dnie świąteczne. Ostatnim ważnym listem Gaussa jest ten, w którym pisze o książce doktora Whewella, traktującej o wielości światów zamieszkałych. Gauss był dalekim od odrzucenia tego rodzaju przypuszczeń. List ten kończy się parafrazą bezwiedną uwagi, którą Hamlet robi Horacemu: „Die Natur hat mehr Mittel, als der arme Mensch ahnen kann.“

Moda wprowadzania kolorytu naukowego do utworów fantazyi rozszerza się coraz bardziej. We Francyi Verne wprowadza do powieści nauki przyrodnicze, w Niemczech znany egiptolog Ebers, opisuje miłostki córek faraońskich na tle, które mu poszukiwania archeologiczne dostarczyły. Pierwszą jego powszechnie znaną powieścią była „Córka króla egipskiego,“ ostatnią, która niezbyt dawno się ukazała: *Varda*, romans w starożytnym Egipcie. Już oddawna krytycy, szczególniej francuscy, zapraszali pana Ebersa, aby wrócił do swych badań naukowych nad hieroglifami, i w ogóle historyą egipską, chociaż mu wcale nie odmawiali wielkich zdolności literackich. Jednak rady te nie były wysłuchane. Prawdziwe księżniczki, które śpią spokojnie na dnie sarkofagów z czarnego bazaltu lub różowego granitu, pod diademami i ciężkiemi złotemi bransoletami, straciły już urok dla p. Ebersa, od czasu gdy się nauczył wywoływać inne, u których woń grobów nie miesza się z wonią świeżą istot żyjących, i które nie mają osłupiałego, nieruchomego, przerażającego oka mumii śpiących w grobowcach. Naprożno zapewniają go, iż wołany jest przez umarłe; woli on żywe, których język jest tak jasny, pojęcia tak zrozumiałe, gdyż to język i pojęcia z naszych czasów. W *Vardzie* rzecz się dzieje na czternaście wieków przed Nar. Chrystusa, a mimo to księżniczka Beut-Anat, córka Ramzesa czuje i myśli jak kobieta dziewiętnastego wieku naszej ery. Męzki personal powieści nie obcym jest nam także.

Sceptyczny lekarz Nebsecht bardzo ma wielu braci między naszymi młodymi fizyologami i autor nie potrzebował szukać daleko wzorów dla swych klerykałów. Jednem słowem, Egipcyanie p. Ebersa, mimo ubrania, któremu nic zarzucić nie można, mimo autentycznego umeblowania, robią wrażenie przebranych Niemców, którzy się bawią w maskaradę; być może, iż tak myślano i mówiono za czasów Mojżesza (który jest tak grzeczny, iż sam przychodzi wypowiadać swe przekonania filozoficzne i religijne;) lecz pewnem to nie jest. To też gdy się w powieści oddala czytelnik od archeologii, a zbliża ku rzeczom ludzkim, interes się wzmaga, opowiadanie staje się żywszem i czujemy, że jest prawdziwem. Najlepiej by było, gdyby pan Ebers z tej jednej książki zrobił dwie: jednę traktującą w sposób historyczny o Ramzesie, drugą byłaby dobrym romansem. Egiptolodzy twierdzą, że pierwszej części nie ma nic do zarzucenia.

Na przeciwnym biegunie znajduje się dramat staroperuwiański *Ollanta*, który został obecnie w Niemczech wydany przez hrabiego Wickenburga. Dramat ten ma pochodzić z czasów kiedy Incasi rządzili w Peru i gdy jeszcze Hiszpanów tam nie było. Interesujący ten przyczynek do historyi cywilizacyi dawnej nowego świata dowodzi, jak wysoko był rozwinięty nieszczęśliwy naród w Peru mieszkający. Hrabia Wickenburg pisał według literalnego tłumaczenia, dokonanego przez Tschudiego i według znawców ma być wiernym i co do charakteru odpowiednim przekładem.

Pan Hermann Uhde wzbogacił nowem dziełem tak zwaną literaturę getowską, zajmującą się wszechstronnych tym geniuszem. Wydał on listy Goethego do Soreta, genewskiego przyrodnika. Pan Uhde posiada dzielny umysł i jest pracowitym poszukiwaczem; nie ograniczył się na mechanicznem zadaniu przepisywania listów i ich wydawania; przestudyował do głębi swój przedmiot i spełnił sumiennie obowiązek wydawcy nieznanych a różnych dokumentów. Przypiski jego są treściwe i oparte na pewnych faktach, a dla czytelnika nie pozostawiają żadnej wątpliwości. To jednak co wydał p. Uhde, nie można nazwać listami; są to proste kartki o mineralogii albo dokładniej o studyach mineralogicznych Goethego. Żałować należy, że pan Uhde zamiast wydawać „Listy Goethego do Soreta“ nie napisał i nie wydał książki pod tytułem „Goethe i Soret,“ do której dołączyłby uwagi Soreta o Goethem.

Stosunki Soreta z Goethem były codziennemi; z powodu swych głębokich wiadomości w mineralogii i krystalografii, był on niezbędnym dla Goethego. Był on rodzajem adjunkta naukowego przy Goethem. Pomagał mu, a nawet rzec można sam przetłumaczył na język francuski „Metamorfozę roślin,“ a to usługa była nieocenioną w oczach Goethego, który chciał utrzymać jak najmocniejszy związek duchowy z Francyą. Ztąd pochodzi ta codzienna korespondencya z Soretem; Goethe prosił go o okazy kryształów; posyłał mu minerały; opowiadał mu rezultaty swych badań z dnia poprzedniego i prosił o radę na dzień następny. Pierwszy z tych listów nosi datę 5go czerwca 1823, ostatni 5go lutego 1832. W sześć tygodni potem Goethe zakończył swój żywot.

Listy te mają tę zasługę, iż przedstawiają nam Goethego, pracującego na polu naukowem i to w sposób pozwalający poznać, jakiemi drogami szedł ten umysł genialny. Inne listy wydane dawniej (Goethe in amtlichen Verhältnissen aus den Acten und Correspondenzen, von Dr. C. Vogel) przedstawiają nam inną stronę jego życia, codzienną jego działalność jako dyrektora teatru, administratora biblioteki i ministra. Ogólnie rozpowszechnionem jest mniemanie, że Goethe zajmował się tylko przypadkowo badaniami naukowemi i że były one tylko dodatkiem do jego działalności literackiej. Jest to błędne mniemanie, gdyż w drugiej połowie życia Goethe przynajmniej tyle się oddawał nauce, ile poezyi.

Uczeni z profesyi pogardliwie spoglądali dawniej na prace naukowe Goethego; widzieli w nich przedewszystkiem marzenia filozoficzne. Nastąpił wybuch oburzenia, gdy Goethe chciał wywrócić lub tylko zreformować Newtonowską teoryę światła. Póżniej, gdy ubiegły lata, przekonano się, iż Goethe wyprzedził późniejsze daleko odkrycia. Candolle potwierdza obserwacye Goethego nad zamianą liści roślin na kwiaty. Geofroy Saint-Hilaire przyjmuje teoryą rozwoju organizmu zwierzęcego, którego zasady podał Goethe w rozprawie traktującej o jednej z kwestyi osteologicznych. Chevreuil potwierdza rezultaty, do których doszedł Goethe w swych badaniach nad barwami.

Rozmyślania naukowe, które wydały tak obfite rezultaty, nie mogły być tylko jednym epizodem w życiu tego wyższego od innych człowieka; zajęły one znaczną część jego życia, a pod tym względem korespondencya wydana przez p. Uhdego przynosi nam dowód oczywisty i nie pozostawia żadnej wątpliwości. W dziewięcioletnim okresie trwania tej korespondencyi Goethe codzień pracował nad jakiemś zadaniem z filozofii naturalnej.

Znany przedewszystkiem jako zręczny nowelista, Paweł Heyse, jest także i niepoślednim poetą, a tomik jego utworów wierszowanych, który się niedawno ukazał, jest pożądanym nabytkiem dla piśmiennictwa niemieckiego, obecnie w tym kierunku nadzwyczajnie ubogiego. Wszystkie utwory nowoczesnych poetów są na jeden model przykrojone i brak im ogromny treści nowszej, oryginalniejszej. Na nieszczęście Heyse jest więcej poetą wyrobionym niż urodzonym, albo jeżeli nawet posiada pewien wrodzony dar poetycki, to w tak słabym stopniu, że potrzebuje najstaranniejszej manipulacyi, aby wydał coś, co się światu pokazać może. Kilka drobnych a prawdziwych wylewów serca więcej by zadowoliło, niż wszystkie wyrafinowane

wyrazy uczucia, miłości, myśli, w które opływają ostatnie utwory poetyczne Heysego. Zbiorek ten nowy składa się z poemacików, wierszy lirycznych i różnych drobnych rzeczy, nie łatwych do rozklasyfikowania, lecz w ogóle daleko więcej zajmujących z powodu swej oryginalności. Styl jest w ogóle giętki i elegancki, a budowa poematów bez zarzutu; myśli, chociaż nie odznaczają się oryginalnością, jednak nie rażą nas tym nieproporcyonalnym stosunkiem treści do formy, tak często napotykanym u niemieckich poetów niższego rzędu. Ogólna barwa jest rozpaczliwą i pessymistyczną.

Jednym z najważniejszych artykułów w *Przeglądzie rossyjskim*, wydawanym po niemiecku, jest długi i szczegółowy opis Gruzyi tureckiej, przetłumaczony z pracy rossyjskiej pułkownika Kasbeka, który zwiedzał te strony w r. 1874. Opis ten jest interesujący ze względu na obecne wschodnie wypadki. Jest tam także i drugi zajmujący artykuł o zwyczajach weselnych w Rossyi, oparty na opisach i wzmiankach czerpanych z pieśni ludowych.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

XXVIII.

Najważniejszym wypadkiem ubiegłego tygodnia jest niezaprzeczenie otwarcie obrad sejmu krajowego. W tym roku ma ten akt tem większe znaczenie, że w nowym, szczęśliwszym składzie może być działalność reprezentacyi naszego kraju bez porównania skuteczniejszą, niż była dawniej, więc już i nie z taką obojętnością, jak to bywało w ostatnich latach miniowej kadencyi ,oczekiwała opinia publiczna zgromadzenia się sejmu. Zresztą i czasy teraz inne — inne stosunki, wśród których rozpoczynają się prace sejmowe....

Ponieważ w zakres pisma naszego nie wchodzą polityczne roztrząsania, dlatego też opiszemy tylko te wrażenia, z aktu otwarcia sejmu odniesione, które nie wkraczają na pole polityki.

Otóż przedewszystkiem zauważyć musimy, że dla malarza nie ma już parlament galicyjski tylu interesujących właściwości, jak dawniej, gdy roiły się tam typowe postacie ludowe z rozmaitych okolic kraju, w różnokolorowych sukmanach, sierakach i płótniankach, nieruchomo zasiadające długie szeregi ław. Teraz już prozaiczne surduty zastąpiły barwną mozaikę ubiorów pp. Hajdamachów, Iwaniszynych, Laskorzów i t. p. mężów stanu.

Amatorowie borb świętojurskich także nie będą mieli teraz tak często jak dawniej sposobności napawać uszu kłótniami, jakiemi dawniej zapełnione było niejedno posiedzenie naszego sejmu — jak gdyby on nie miał już co lepszego do roboty.... Borby te mogły wprawdzie stanowić ciekawe studyum dla lingwisty, gdyż rzadko gdzie zdarzyć się może słyszeć tyle przeróżnych odmian ruskiego języka – od diakowskiej ruszczyzny naszpikowanej z cerkiewnych ksiąg zapożyczonemi wyrazami posła Andrijowskiego, upstrzonych rosyjskiemi słowami frazesów ks. Krasickiego, szorstkich wykrzykiwań przeciwko polskiej „bołszosty“ ks. Zaklińskiego, w huculskim dyalekcie wygłaszanych, aż do wygładzonej zręcznie, płynnej wymowy posła Kowalskiego. Z całej tej drużyny możnej niegdyś w naszym sejmie opozycyi świętojurskiej, pozostał dziś już tylko sam p. Kowalski, i około niego, jak około patryarchy skupia się nader szczupłe dziś grono jego przyjaciół politycznych. Niechaj tam sobie panowie gramatycy szukają gdzieindziej pola do studyów ruskiego języka, a my złóżmy dzięki dobrotliwym bogom, iż sala obrad reprezentacyi naszego kraju przestała już być miejscem popisu gimnastyki językowej.

Z wytężoną uwagą wyczekiwano przemówienia nowomianowanego marszałka krajowego, hr. Ludwika Wodzickiego. Można powiedzieć, że leżało to w tradycyi naszego sejmu, że mowy inauguracyjne marszałków streszczały poniekąd uczucia i życzenia ogółu. Nie trzymał się jednakże tych wzorów nowy marszałek. Poszedł on — jak to mówią — „swoim dworem,“ tj. skorzystał sprytnie ze zdarzonej sposobności, ażeby z marszałkowskiego krzesła palnąć naukę moralną sejmowi i krajowi, jak mamy przerobić na sze serca i umysły w myśl programu stronnictwa Stańczyków.... Jego Ekscelencya był też tak łaskaw, że przyrzekł także „tolerancyą“ żyjącym w kraju naszym niekatolikom! Ciekawa rzecz, co też byłoby się z nimi stało, gdyby np. pan Wodzicki nie chciał być tak wspaniałomyślnym, i nie przyrzekł im — tolerancyi?...

Mówiąc seryo, to rzucenie ze strony marszałka zarzewia religijnych sporów w łono sejmu, w chwili gdy powinniśmy być radzi, że ucichną w nim może kłótnie narodowościowe, nie bardzo wydaje się nam zręcznem. W ogóle nosiło przemówienie hr. Wodzickiego piętno mozolnie wypracowanej enuncyacyi dyplomatycznej, przy której układaniu chodziło mu przedewszystkiem o to, ażeby jak najstaranniej ukryć to, co każdy Polak z urodzenia w sercu nosi. Nie na darmo powiedział nieboszczyk Talleyrand, że Pan Bóg na to dał człowiekowi mowę, ażeby skrywać mógł swoje myśli...

...Zdało się, że to gra Wojski — a to echo grało...

I nam się zdało, że to mówi marszałek, a to mówił — tajny radca...

* * *

Z powodu nadzwyczajnej ilości zgłoszeń do wystawy rolniczej i przemysłowej, która się za trzy tygodnie ma rozpocząć, trzeba było zdwoić co do rozmiarów pierwsze plany budynków. Obok głównego gmachu stanie drugi, równy pierwszemu co do wielkości i już energicznie wzięto się do jego budowania. Z ukończonych budynków najlepiej się przedstawia pawilon producentów nafty, tak co do rozmiaru jako też i gustowności. Wystawa ta zbiorowa nafty i jej przerobów będzie może jedną z najobfitszych i najbardziej pouczających. Będziemy mieli na okazach przedstawioną tę najważniejszą może gałąź przemysłu galicyjskiego.

Gmach główny gotów już prawie zupełnie i czeka tylko na umieszczenie szaf i stołów z przedmiotami. Wodociąg, którego zbiornik umieszczony jest na wysokiem rusztowaniu na północno-zachodnim rogu placu Jabłonowskich, działa wybornie a fontanna w basenie środkowym bije do znacznej wysokości i przyczyniać się będzie ogromnie do ożywienia placu wystawy, tem bardziej, że basen będzie rodzajem Aquarium dla roślin wodnych.

Prof. Syrski wystawił ładny pawilonik z pokrytych białą korą pni brzozowych i dachem ze słomy. Wewnątrz niego mieści się Aquarium, które będzie bezwątpienia jednem z najbardziej uczęszczanych miejsc na wystawie. Aquarium to składa się z 10 skrzyń o lustrzanych szybach, w których wystawione będą wszystkie nasze zwierzęta, poczynając od najniższych gąbek i tp. a kończąc na najwyżej uorganizowanych. Jedna lub dwie skrzynie mają być poświęcone zwierzętom morskim, które nadejść mają z Tryestu, Berlina i Hamburga.

Czasopismo wystawowe, przez nas wydawane, wychodzić zacznie w przyszłym tygodniu około 15 b. m. i znajduje się już pod prasą.

* * *

O czemkolwiek teraz się pisze, chociażby o gwiazdach spadających, lub uprawie buraków, niepodobna nie potrącić o politykę. Wciska się ona wszędzie, nawet do rozmowy kochanków, nawet do monologów durnego Jasia, a już na konferencyach u Królikowskiego, Mańkowskiego, Baczewskiego i tylu innych „niosących flaszę przed narodem“, jest ona podstawą i materyą wszelkich toastów, i wyłącznym pretekstem do libacyi. Jakże tu rozminąć się z polityką pisząc sprawozdanie z ubiegłego tygodnia, tem bardziej, że w tym ubiegłym tygodniu Lwów także miał podnieść głos w sprawie wschodniej.

Miał podnieść, ale mu nie pozwolono. Bo to nie racya, że w Peszcie i po całych Węgrzech zbierają się mityngi i uchwalają rezolucye, które gdyby w czyn wprowadzono, jużby szwadrony węgierskich huzarów mknęły gdzieś traktami nadwiślańskimi. Quod licet Jovi, non licet Lvovi, mówiąc z lwowska po łacinie, a ponieważ nie jesteśmy pismem politycznem, nie będziemy się więc zastanawiali nad mądrością tego zakazu. Nie możemy jednak przemilczeć faktu, który świadczy, że sprawa wschodnia we Lwowie obchodzi żywo nie tylko tych, co codziennie jadają śniadania u Mańkowskiego, ale i tych, co dwo raz na tydzień w niedzielę pijają piwo u Naftuły.

Otóż w przeszłą niedzielę dziedziniec ratuszowy i rynek przed główną bramą ratusza roił się i czernił od kilkutysięcznego tłumu, który mając więcej odwagi — może z natury swego stanowiska — od osób wysoko postawionych, chciał głośno wypowiedzieć swoje poglądy i sentymenta w sprawie wschodniej. Na umotywowanie poglądów nie pozwolił zakaz policyjny, mów więc nie było i skończyło się tylko na odczytaniu z ratuszowego okna rezolucyi, która miała być wniesioną na zgromadzenie, ale co się tyczy sentymentów, to na ich wyrażenie nie potrzeba było wiele czasu i osobnego pozwolenia policyi, i jeden wielki okrzyk, który buchnął słupem z ratuszowego dziedzińca, krótko ale węzłowato zadokumentował sympatye i pragnienia Lwowian.

Faktem ciekawym i pomyślnym było to, że wieczny antagonizm pomiędzy ludnością żydowską i chrześciańską, objawiający się zwykle najdobitniej przy wszelkich zgromadzeniach ludowych, tym razem wcale się nie objawił. I owszem Żydzi, których nie mało było w tłumie, złączyli się najściślej z ludnością chrześciańską w okrzyku patryotycznym.

* * *

Dziś przypada rocznica Unii lubelskiej, i kończy się lat ośm od rozpoczęcia robót około usypania kopca na wieczną pamiątkę tej unii. Roboty około kopca postępują ciągle. Jest to mrówcza praca luźnych usiłowań w jednym kierunku, które góry wznosi. Prawie codzień widzieć można z rydlem lub grabiami czcigodnego naszego *Franciszka Smolkę*, pracującego z nadzwyczajną wytrwałością. Kopiec już urósł znacznie i kto go

nie widział dłuższy czas, zaledwie poznać potrafi. Niezawodnie robota byłaby jeszcze sporniejsza, gdyby nasi lekarze byli zwolennikami silniejszego ruchu i zamiast ordynowania picia wód (połączonego z przechadzką), ordynowali wywiezienie pewnej ilości taczek na kopiec, a kto wie, czy nie lepiejby wyszli na tem i pacyenci. Jedni aptekarze byliby niezadowoleni, ale i na to możnaby coś obmyśleć, np. jakieś pigułki po pracy lub przed pracą. Unia lubelska stanowi niewątpliwie jednę z najpiękniejszych kart dziejów naszych, dobrowolnego zlania się w jeden organizm trzech sąsiednich ludów — niestety, słyszymy od pewnego czasu dyssonans w tem zjednoczeniu, nie ma już dawnej harmonii, a chociaż wierzymy najmocniej, że ta dyzharmonia jest tylko chwilową, to jednak życząc, aby ona ustawała w miarę wzrastania kopca, nie możemy przemilczeć, że nic się samo przez się nie zrobi i że potrzeba pomyśleć o zgodzie i porozumieniu. A nie wątpimy, że jeżeli w 1569 r. przodkowie nasi znaleźli punkt wyjścia, który zbratał trzy ludy, to i nam nie trudnoby go znaleść, tylko chęci i wyrozumiałości potrzeba.

* * *

Zgoda! z tem hasłem wystąpiło grono zacnych obywateli wyznania mojżeszowego, nawołując swoich współwyznawców do braterstwa z chrześcianami, do pełnienia zarówno z tymi ostatnimi obowiązków względem kraju ojczystego itp. Zanim bliżej zajmiemy się tą sprawą, pospieszamy przesłać czcigodnym inicyatorom serdeczne *Szczęść Boże!*

* * *

W zeszły czwartek nastąpiły we Lwowie ponowne liczne aresztowania. Między innemi został uwięziony współpracownik naszego pisma p. *Koszczyc*, autor dzieła „Wschód" i w. in. wskutek jakiego podejrzenia nastąpiło to aresztowanie dotąd nie wiadomo.

SZKOŁY LUDOWE W GALICYI

w roku 1875/6.

Krajowa Rada szkolna ogłosiła obecnie sprawozdanie o stanie wychowania publicznego w roku szkolnym 1875/6. Zawarte w tem sprawozdaniu szczegóły są tem więcej zajmującemi, że świadzą nader korzystnie o skuteczności usiłowań, mających na celu pomnażanie liczby, jak niemniej ulepszanie wartości pedagogicznej i dydaktycznej szkół ludowych w naszym kraju. Z naturalnem zadowoleniem wykazuje Rada szkolna postęp w tym względzie we wszystkich kierunkach. Sądzimy przeto, iż dla każdego obywatela kraju, dla którego sprawy publiczne nie są obojętne, pożądanem będzie dowiedzieć się o szczegółach, tyczących się szkół ludowych, tych pierwotnych źródeł oświaty ogólnej.

Wszystkich szkół ludowych publicznych wyznaniowych i prywatnych istnieje w kraju naszym 2972. W tej liczbie znajduje się 2799 szkół publicznych, 78 wyznaniowych z charakterem publicznym, 12 klasztornych i prywatnych z charakterem publicznym, i 83 klasztornych i prywatnych zakładów naukowych, nie mających charakteru publicznego.

Szkół ludowych publicznych *czynnych*, tudzież tych, które mają charakter szkół publicznych, było w zeszłym roku razem 2450. Jedna zatem szkoła czynna wypadła na 2211 mieszkańców, gdy w r. 1874/5 istniała jedna szkoła na 2252 mieszkańców. Z 5936 gmin miało 3848 gmin szkoły własne, albo przynajmniej należały do związku szkolnego z innemi gminami, zaś 2088 gmin nie miało ani szkół własnych, ani też nie były w związku szkolnym z innemi. Doliczywszy do tego gminy, które mają wprawdzie szkoły, lecz nieczynne z powodu braku nauczycieli, okazuje się że w połowie niemal gmin w kraju naszym w upłynionym roku szkolnym dzieci nie korzystały z nauki szkolnej. Rada szkolna pisze w tym przedmiocie: „Stosunki tak niekorzystne dadzą się wtedy dopiero całkowicie uchylić, gdy liczba rozporządzalnych sił nauczycielskich dojdzie do tej wysokości, by niemi można nietylko wszystkie już istniejące szkoły ludowe obdzielić, ale w dodatku mieć zaraz nauczyciela lub nauczycielkę dla każdej z tych szkół, które w myśl art. 1 ustawy szkolnej wypadnie założyć."

Słuszności powyższej uwagi dowodzi liczba wakujących posad nauczycielskich. Wszystkich posad nauczycielskich było w upłynionym roku szkolnym w publicznych szkołach ludowych 3718, tj. o 188 więcej jak w poprzednim roku szkolnym 1874/5, z posad tych było zajętych 3343, o 177 więcej niż w r. 1874/5, posad zaś *nie zajętych* było 475, czyli 12.42% wszystkich miejsc. W porównaniu z r. 1874/5 okazał się w roku 1875/6 stosunek posad zajętych do niezajętych korzystniejszym o 0.36%. W ogóle przybyło Radzie szkolnej do rozporządzenia w ostatnim roku 177 nowych sił nauczycielskich.

Najgęściej są rozsiane szkoły w okręgach: złoczowskim, tarnopolskim, stryjskim, krakowskim zamiejskim i stanisławowskim; najrzadziej w wadowickim, bocheńskim, tarnowskim, sanockim, rzeszowskim, przemyskim i samborskim. W ostatnich 5 latach przybyło 648 nowych szkół, czyli 29%.

Na utrzymanie szkół, zreorganizowanych podług przepisów ustawy szkolnej, wydały w r. 1875/6 gminy i inne strony konkurencyjne ogółem złr. 692.974 w. a.

Powiaty dostarczyły	. „	219.397 „ „
Fundusz krajowy	. „	158.833 „ „

Wydano przeto ogółem na cele wychowania elementarnego złr. 1,071.204 w. a.

Z tej sumy obrócono na płace nauczycielskie złr. 978.711 w. a. czyli o 83.916 złr. więcej niż w r. 1874/5. Przeciętna płaca jednego nauczyciela wynosiła w r. 1875/6 złr. 304.70, a zatem o złr. 22.08 w. a. więcej niż w r. 1874/5. Przeciętna płaca nauczycieli, posiadających przepisaną kwalifikacyą, wynosiła złr. 368.40 w. a. Najwyższa płaca przeciętna była we Lwowie (złr. 619.19 w. a.), najniższa w Sądeckiem (218.76 w. a.) Przed dziewięciu laty wynosiła przeciętna płaca nauczyciela złr. 170 w. a.

W r. 1875/6 miały szkoły ludowe 2387 budynków własnych, a 255 szkół mieściło się w budynkach obcych. Z tych budynków odpowiadało potrzebom w zupełności 875, 986 znajdowało się w stanie średnim a 751 w złym. W porównaniu z rokiem poprzednim powiększyła się liczba budynków dobrych o 70, ubyło zaś 12 budynków średnich, 73 zupełnie złych. W ciągu ostatnich lat czterech udzielono gminom 178.627 złr. jako zasiłków i pożyczek bezprocentowych na budowę porządnych szkół. Od roku 1871 przybyło 624 budynków nowych albo przerobionych racyonalnie.

Co się tyczy przyborów naukowych, to wykazano w upłynionym roku szkolnym w szkołach ludowych publicznych 1422 globusów, 6350 map, około 17000 tablic ściennych, 4522 obrazów, 1873 liczydeł i 1118 kompletów miar i wag metrycznych. Przy 1607 szkołach publicznych istnieją małe biblioteczki, w których wykazano około 59.000 dzieł. Ubogim dzieciom rozdano 33.000 egzemplarzy książek szkolnych bezpłatnie.

Od r. 1875 przybyło w szkołach ludowych ławek 4052, stołów 356, krzeseł 675, tablic 493, szaf 359, zegarów 158, dzwonków szkolnych 89, globusów 325, map 2893, tablic ściennych 13136, obrazów 2901, liczydeł 330, zbiorów miar i wag metrycznych 824, bibliotek 517, dzieł w nich znajdujących się 12.362. Cyfry te świadczą wymownie o ulepszeniach w urządzeniu szkół.

Rada szkolna systematycznie zdąża do tego, ażeby szkołę ludową zespolić niejako z życiem praktycznem, i dla tego stara się, ażeby o ile to jest możliwem podawano dzieciom, do tych szkół uczęszczającym, jak największy zasób wiadomości z zakresu ich przyszłych zajęć i zatrudnień. Z wykazów, sporządzanych przez Rady szkolne okręgowe, wynika, iż w ubiegłym roku szkolnym udzielano nauki gospodarstwa wiejskiego w 699 szkołach; gospodarstwa domowego uczono tylko w lepiej urządzonych szkołach żeńskich, których było 32; sadownictwa i ogrodnictwa uczono w 1272 szkołach; pszczelnictwa w 547 szkołach, w 225 ręcznych robót kobiecych.

We wszystkich przedmiotach, planami naukowemi przepisanych, uczyniły dzieci w 571 szkołach postępy dobre, w 901 postępy dostateczne, w 577 postępy mierne, w 264 postępy niedostateczne. Było zatem 1472 szkół z pomyślnym wynikiem nauk, 841 z niepomyślnym. Najlepsze są szkoły w Krakowie (100% dobrych), w okręgu tarnowskim 88%, w mieście Lwowie 83%, w Kołomyjskiem i Krakowskiem 82% itd. Najgorsze w Czortkowskiem, Stryjskiem i Brzeżańskiem (43% dobrych szkół,) dalej w Sanockiem, Nowosądeckiem i w okolicy Lwowa 56% itd.

Przystępujemy teraz do skreślenia stosunków frekwencyi szkół ludowych.

Podług ostatniej konskrypcyi wynosi w Galicyi liczba dzieci znajdujących sie w wieku szkolnym (od 6 - 12 lat) 775.174 — około 387.000 chłopców, 388.000 dziewcząt. W miejscowościach, gdzie są szkoły, znajduje się 518.000 dzieci w wieku szkolnym, uczęszczało zaś wszystkiego 216.000 dzieci, mianowicie 123.600 chłopców, i 92700 dziewcząt do szkoły. Cyfry powyższe wykazują jak daleko jeszcze do urzeczywistnienia ideału „powszechnej, obowiązkowej nauki szkolnej," przepisanej ustawą z dnia 3go maja 1873 r. Że jednak powoli zbliżamy się do tego celu krok za krokiem, dowodzi zwiększająca się corocznie liczba uczniów w szkołach ludowych: w r. 1875/6 przybyło im 11.514 chłopców, a 12.167 dziewcząt, czyli ogółem 23.681 uczniów.

Pod względem wyznań było 115.915, czyli 54% uczniów rz. k. wyznania, 74550 czyli 34% uczniów gr. k. wyznania, 4501 czyli 2% ewangelików, i 21366 czyli około 10% żydów. Od r. 1870 zwiększyła się frekwencya w szkołach ludowych o 60317 dzieci, z tych w tej liczbie przybyło żydów drugi raz tyle ile ich było, gdyż zwiększyła się liczba dzieci żydowskich uczęszczających do szkół publicznych o 10.495. Jest to objaw bardzo pocieszający, gdyż o tyle mniej żydowskich dzieci kształci się w chajderach.

Szkół ludowych z językiem wykładowym polskim było 1183.

Szkół ludowych z językiem wykładowym ruskim było 1436.

Szkół ludowych z językiem wykładowym niemieckim było 112.

Szkół ludowych z językiem wykładowym polskim i ruskim 228.

Szkół ludowych z językiem wykładowym polskim i niemieckim 13.

Jeżeli przeto mniejszą jest liczba uczniów gr. kat. obrządku, to objaw ten nie pochodzi ztąd, jakoby mniej było szkół ruskich w kraju, tylko że w ogóle mniej liczną jest frekwencya w ruskich szkołach.

BIBLIOGRAFIA

polska.

— *Dzieduszycki Wojciech.* Ateny. 8ka. str. 304. Lwów, 1878. 2·60.

— *Dzierzkowski Józef.* Dla posagu. Powieść. Wydanie drugie, 8ka. str. 154. Lwów, 1878. 1 złr.

— *Dzierzkowski Józef.* Kuglarze. Powieść. Wydanie drugie, 8ka, str. 125. Lwów, 1878. 80 ct.

— *Dzierzkowski Józef.* Palec Boży. Powieść. Wydanie drugie, 8ka. 102. Lwów, 1878. 60 ct.

— *Dzierzkowski Józef.* Serce kobiece. Powieść. Wydanie drugie, 8ka. 286. Lwów, 1878. 1·80.

— *Dzierzkowski Józef.* Znajda. Powieść. Wyd. drugie. 8ka. str. 96. Lwów, 1878. 40 ct.

— *Jenkin Ch.* Kto straci, zapłaci. Powieść z ang. 3 tomy 8ka, str. 143, 125, 113. Warszawa, 1877. 1·80.

— *Masłowski W.* Zela. Powieść z życia Czeczeńców. 8ka, str. 315. Lwów, 1877. 2·40

— *Nadpełtwianin.* Kalendarz humorystyczny, zastosowany do potrzeb wszystkich mieszkańców Galicyi na rok pański 1878. 50 ct.

— *Szlosser F. H.* Dzieje powszechne. Tom 19 zawiera: Dzieje nowożytne, historyą pierwszych lat 19 wieku, 8ka, str. 575. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej, 1877. 5 złr.

— *Wilczyński.* Fotografie społeczne. Tom I. zawiera: Kaprys panny Julii. Sąd polubowny. 8ka. str. 248. Lwów, 1877.

— *Ziembiński Stan.* Składnia wykreślna. (Geometrya położenia) podług T. Reyego. Cz. I. 8ka. str. 129. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej, 1877. 2 złr.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— *Ateny* przez Wojciecha Dzieduszyckiego opuściły właśnie druk nakładem księgarni Wł. Bełzy we Lwowie.

— W ostatnim numerze *Kłosów* spotykamy bardzo sympatyczny portret Władysława hr. Tarnowskiego, z życiorysem, ciepło przez Kraszewskiego napisanym.

Władysław hr. Tarnowski, syn Waleryana, wnuk Jana Feliksa z Dzikowa (w Galicyi), nie liczy jeszcze lat czterdziestu, a od lat przeszło dziesięciu jest już czynnym jako pisarz, muzyk kompozytor, wirtuoz i niestrudzony wędrownik.

Od pióra przechodzi on do fortepianu, od partytur do poematów... słowem natura wysoce poetyczna, szlachetna a cicha, ztąd też mniej głośna.

Z pism jego przedewszystkiem zasługuje na podniesienie rzadkiej piękności dramat „Joanna Grey", wydany pod pseudonimem Ernesta Buławy, pod którym ogłosił Tarnowski kilka innych jeszcze dramatów i tom niecodziennego polotu lirycznych poezyj.

Listy z podróży po Włoszech i Wschodzie, rozproszone w pismach pełne są blasku, siły i kolorytu.

Obecnie do czarownych Indyi wzdycha nasz turysta.

Jako kompozytor dał już Wład. Tarnowski szereg rzeczy drobnych, a wdzięcznych, najpoważniejszą z prac jego na tem polu, jest opera „Achmet," do której sam tekst dorobił i którą właśnie drukuje Forberg w Lipsku.

W grze kształcił się Tarnowski w Lipsku, bawiąc też chwilowo przy Liszcie i Wagnerze.

Tarnowski — słowa Kraszewskiego — całą duszą artysta, żyje tylko w świecie poezyi, muzyki, sztuki, w świecie ideałów, snów i marzeń.

Człowiek to szczery, otwarty, nie podobna go nie pokochać, a patrząc nań nie podobna nie uszanować w nim tego poświęcenia się sztuce, które w dzisiejszym czasie jest z poświęceń najrzadszem!

Nikt nad Tarnowskiego bardziej seryo, poważniej nie pojmuje zadania sztuki.

Zdobył też sobie, szczególniej w świecie muzykalnym niemieckim szacunek i ocenienie, które i u nas, dając się lepiej poznać, niewątpliwie uzyska.

— Wyszło obecnie z druku nowe dzieło filozoficzne oryginalne, doktora Levittoux, w języku francuskim, które ma służyć za klucz do jego „filozofii Natury", pod tytułem: „Lettres à un Ami, sur quelques questions fondamentales du domaine de la philosophie de la nature".

— Znakomity nasz historyk Henryk Schmitt miał dwa odczyty w Krynicy: „Polityka Austryi od końca wojny siedmioletniej aż do pierwszego rozbioru Polski."

— Znany podróżopisarz, dr. Teodor Tripplin, zamieszkujący obecnie w Warszawie na stałe, zajęty jest pisaniem podróży po Wschodzie. Podróże te, które obejmować będą cztery tomy, wyjdą niebawem na widok publiczny. Pierwsze dwa tomy mieszczące podróż po ziemi świętej, ukażą się w końcu września, pozostałe zaś przed końcem bieżącego roku.

— Bawiący obecnie we Francyi malarz nasz, Henryk Piątkowski, otrzymał srebrny medal na wystawie sztuk pięknych w Angers za obraz „Salomea niosąca głowę Ś-go Jana".

Takimże srebrnym medalem nagrodzony został p. Artur Gąsowski z Montpellier za obraz „Pejzaż z okolicy Paryża."

W Wiedniu zaś dwaj nasi młodzi artyści pp. Franciszek Kurdowski i Roman Kochanowski, otrzymali od kollegium akademii sztuk pięknych po złotym medalu i po jednej jeszcze mniejszej nagrodzie za wystawione dzieła pędzla i ołówka.

— Donoszą nam z Paryża, iż w tamtejszym instytucie ogrodnictwa, zostającym pod Dyrekcyą profesora Dubreuil, przy składaniu w tym roku egzaminów z odbytego kursu dwuletniego, otrzymał patent p. Grzegorz Bardet, rodem z Warszawy, syn jednego z właścicieli zakładów ogrodniczych.

— W paryzkiej *Revue de Zoologie*, mieści się rozprawa profesora Wagi o odkrytym przezeń nowym gatunku salamandry, nazwanej *Exaerentus Caucasicus* Waga.

Wiadomości ekonomiczne.

(m.) Sprawozdanie lwowskiej Izby handlowej i przemysłowej za czas od r. 1866 do 1870. Pod tym napisem wyszło teraz z druku dzieło w niemieckim języku obejmujące 45 arkuszy w dużym formacie, w którem podaną jest nietylko dokładna statystyka, ale nawet przytoczone są w całej osnowie imienne wykazy wszystkich przemysłowych i handlowych zakładów, jakie znajdują się w okręgu tutejszej Izby handlowej, szczegółowe wykazy przywozu, transita i wywozu, stanu komunikacyi jakoteż prawnych stosunków przemysłu, handlu i obrotów pieniężnych. Nagromadzone w tem dziele wykazy miałyby wielką wartość praktyczną dla każdego, kto interesuje się sprawami ekonomicznemi kraju, gdyby nie ta okoliczność, że w bardzo wielu szczegółach one są już przestarzałe, i nie odpowiadają rzeczywistym stosunkom teraźniejszości. Druk bowiem tego sprawozdania, które ministerstwu handlu przedłożone było w maju 1872 r. trwał przeszło *pięć lat*, to jest, na złożenie i korektę jednego arkusza potrzeba było około *dwóch miesięcy* czasu!

— W tych dniach powstała w Warszawie nowa fabryka i rafinerya wszelkich olejów maszynowych do palenia, jak również pokostów i smarowideł.

— Warszawska fabryka maszyn do szycia otworzy swoją agenturę w Kijowie.

— Przywilej wyłączności maszyn do szycia wyrobu amerykańskiego stracił już moc swoję w dniu 1 maja r. b., a władze waszyngtońskie postanowiły nieodnawiać już tych patentów na przyszłość. Okoliczności tej gazety zagraniczne przypisują możność zmniejszenia się ceny tych wyrobów.

Szkoły.

— Etat okręgu naukowego warszawskiego, na rozpoczynający się rok szkolny, składa się z następujących pozycyj:

Na wydatki zarządu okręgu naukowego warszawskiego, dyrekcyj szkolnych i inspekcyj szkół miasta Warszawy rs. 143 i 112 kop. 86.

Na utrzymanie uniwersytetu warszawskiego rs. 236600, w tej sumie na utrzymanie składu osobistego z 122 osób, rs. 195192. Na utrzymanie gimnazyów i progimnazyów męzkich okręgu naukowego warszawskiego rs. 631307.

Na utrzymanie gimnazyów i progimnazyów żeńskich, znajdujących się w okręgu naukowym warszawskim rs. 221841.

Wydatki na utrzymanie trzech szkół realnych rs 68024.

Suma ogólna, udzielona ze skarbu państwa na zapomogi dla szkół elementarnych okręgu warszawskiego, wynosi 112984.

Prócz wymienionych wyżej pozycyj przychodzą jeszcze etaty na utrzymanie tak zwanych osobnych zakładów naukowych, mianowicie: na utrzymanie instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej Aleksandryi 47145; szkoły weterynarzy w Warszawie rs. 12595; 9ciu seminaryów nauczycielskich rs. 94312; szkoły wyższej rzemieślniczej w Łodzi 20687; warszawskiego instytutu głuchoniemych i ociemniałych 33744; klasy rysunkowej warszawskiej 5390; i nakoniec na utrzymanie szkoły felczerskiej w Warszawie 1025.

Przytem wyznaczona jest suma na utrzymanie muzeum sztuk pięknych w Warszawie rs. 1530 i na utrzymanie ogrodu botanicznego rs. 11530.

Stowarzyszenia.

— Towarzystwo bratniej pomocy akademików polskich w Lipsku liczyło w ubiegłem półroczu 36 członków zwyczajnych. Kasa wykazuje następujące pozycye: Dochód: remanent z półrocza zimowego 1876/7 68 m. 87 fen., ze składek członków 27 m.; ogółem 95 m. 87 fen. — Rozchód: pożyczka bezprocentowa stypendyjna 95 m., koszta biurowe i portorya 3 m. 14 fen.; ogółem 98 m. 14 fen.

Majątek Towarzystwa wynosi: w wekslach 52 m. 50 fen., w zaległych składkach 916 m. (!) 75 fen., w długach stypendystów 1,265 m.; ogółem 2.284 m. 25 fen.

Na ostatniem walnem zebraniu Towarzystwo postanowiło wykreślić z listy członków: Adolfa Wiesiołowskiego, Kolischera, Wildena i Łebińskiego, którzy z zaległych składek, mimo kilkakrotnego napomnienia, nie uiścili się.

Sprawozdanie z czynności Towarzystwa bratniej pomocy akademików Polaków w Proszkowie z półrocza 1877 r. Towarzystwo składało się w półroczu letniem 1877 r. z 15 członków miejscowych, 195 zamiejscowych i 48 honorowych. Towarzystwo utrzymywało jednego stypendystę, p. Zdzisława Biernackiego, i obowiązało się udzielać p. Janowi Meisnerowi 75 mrk. półrocznie. Posiedzeń odbyło się w ciągu półrocza: a) dwa zwyczajne, b) trzy dyrekcyi, c) trzy nadzwyczajne.

Stan kasy: Remanent z półrocza zimowego 5.314 m. 32 fen., dochodu w półroczu letniem 244 m. 35 fen., po odtrąceniu wydatków 371 m. 40 fen., pozostało w kasie 5.187 m. 27 fen.

— Wyszedł już z druku pierwszy numer nowego czasopisma p. t. *Dźwignia*. Jest to organ niedawno zawiązanego Tow. techników. Pierwszy numer świadczy, że miesięcznik ten dobrze odpowie swemu zadaniu. Redaktorem odpowiedzialnym jest p. L. Radwański inżynier.

Kąpiele krajowe.

W br. liczba gości kąpielowych do połowy lipca była:

w Ciechocinku	1745
w Iwoniczu	1240
w Krynicy	1606
w Lubieniu	219
w Rabce	389
w Szczawnicy	1438
w Swoszowicach	87
w Żegestowie	396

ROZMAITOŚCI.

OBRAZY TURECKIE.

Święta.

— Ze względu na liczne święta chrześciańskiego świata, mianowicie zaś chrześcian na Wschodzie, zdawałoby się, że u mahometan nie ma świąt wcale. Ściśły obserwator nauki proroka obchodzi wprawdzie święta, lecz dni wypoczynku nie zna on zupełnie. Z wyjątkiem co najwyżej trzech dni w roku, mahometanin uczyni zadość obowiązkom religijnym, gdy będzie obecnym w Piątek na Dżuma Namazi (modlitwa Piątkowa), i wysłucha tam pochwał proroka, jego czterech towarzyszów i sułtana panującego. Przytem naturalnie dopełnić musi prawem przepisanej liczby przyklęknień. Po za tem wolno mu jest oddawać się codziennym zajęciom. We wszystkich też krajach Islamu nikt inaczej nie czyni, nawet w okolicach odznaczających się gorliwością religijną, — a jeżeli tu i owdzie spostrzegać się dają w święto zamknięte sklepy, to tylko ztąd wnosić można, iż właściciele ich poświęcają czas wolny na czytanie ksiąg pobożnych; — podobne zaś ćwiczenia religijne prawo poczytuje za Nafile (surplus), nadmierne — dobrowolne.

Święta w Islamie, więcej ograniczone co do liczby i oznak zewnętrznych od uroczystości chrześciańskich różnią się głębszym nastrojem ducha, co trzeba przypisać silnie na Wschodzie zakorzenionemu wyznaniu Mahometa. Przygotowania na rozpoczęcie miesiąca Ramazan są bardzo uroczyste, mianowicie zas nad brzegami Bosforu. Jeżeli tylko pogoda na to pozwala, wszystkie domy wewnątrz i zewnątrz się restaurują, i świeżo tynkują. Dywany i meble czyszczą się, naczynia do kawy, jedzenia i picia, zakupują się nowe, zapas wiktuałów czyni się w olbrzymich rozmiarach, a to wszystko w celu trzydziestodniowego postu — trzydziestodniowego umartwienia ciała. Przygotowania te są może oryginalne, lecz właśnie tam bardzo odpowiednie, bo z tą miesięczną uroczystością łączy się hulatyka pod każdym względem, a więc i w jedzeniu i piciu. Poszczą tam we dnie, aby potem jeść i pić w nocy. Przez cały ten miesiąc szał formalny opanowuje wszystkich, a rząd racyonalnie postępuje, że przez ten czas wszelkie czynności zawiesza.

Na trzy lub dwie godziny przed zachodem słońca, — czy to w Stambule, czy w Teheranie — Bocharze, czy Maroko — w samym środku Chin nawet — widzieć można cienie wiernych mahometan, jak znużeni i pewną nacechowani apatyą przechodzą się koło swych domów. Bo i rzeczywiście, prawdziwa to męczarnia dla mieszkańców Wschodu, cały dzień upału wytrzymać bez kropli wody i namiętnie ulubionej fajki. Napróżno starają się rozerwać spacerem po bazarach i meczetach, lub rozmaitemi teatralnemi widowiskami, — żołądek upomina się o swoje prawa i kurczy, gardło schnie, zmysły się nużą, a tylko ucho spełnia jeszcze żywo swoją funkcyą, wyczekując strzału armatniego, zwiastującego zachód słońca. Nareszcie

rozlega się strzał i budzi tysiące dusz, a raczej żołądków. Naprzód chwytają wszyscy za fajki, potem rzucają się do wody i coprędzej obsiadają stoły. Co się tam wówczas konsumuje, o tem europejczyk wyobrażenia mieć nie może. Nie jedzą, lecz pożerają — i dla tego mądry był rozkaz proroka, który po podobnej nocnej uczcie zaleca Mahometaninowi modlitwę Terawi zwaną. Modlitwa ta składa się z 20 rikatów, z których każdy połączony jest z ośmiu rozmaitemi ruchami gimnastycznemi ciała. Ośm razy dwadzieścia jest 160 poruszeń, po spełnieniu których najniepowściągliwszy żarłok niestrawności obawiać się nie potrzebuje. Nie ma róży bez kolców, uciechy bez przykrości — tak też nie ma uczty Ramazanowej bez Terawi.

Tak się odbywa Ramazan w Konstantynopolu. Uroczystość wieczorna zyskuje tu jeszcze na świetności przez zapalenie lamp na wysmukłych minaretach; — w ogóle też w stolicy nad Bosforem miesiąc ten postu więcej ma powabu, aniżeli gdziekolwiek indziej. W miesiącu tym także przypada „Noc przeznaczenia" (Kadr gedszesi), podczas której sułtan na wspaniale illuminowanej gondoli udaje się do Seraju, a ztąd do meczetu. Za czyn ten pobożny skarb narodowy ofiaruje mu w darze piękną niewolnicę. Noc ta dla mahometan wielkiego jest znaczenia, utrzymują oni bowiem, że Pan Bóg zamyka rachunek grzechów każdego i na rok przyszły inną zakłada grzesznikowi książkę. Uczeni tłómacze Koranu znają nawet formę i kolor tej książki, nic więc dziwnego, że wierny muzułmanin głęboką w tej nocy przejmuje się skruchą.

Nareszcie kończy się miesiąc pokuty, a zaczyna Bejram z wielkiemi ceremoniami i uroczystością. Wszyscy ubierają się w przygotowaną już nową odzież i poważnie paradują po ulicach, bazarach i placach publicznych. Jeżeli pora roku na to pozwala, przyozdabiają głowę w kwiaty, lecz w tak dziki sposób, że łodygi zatykają pod turban, a kwiaty zakrywają im oczy. Ceremonia wzajemnych odwiedzin i powinszowań ściśle się obserwuje. Sułtan nawet w pierwszym dniu tej uroczystości, przyjmuje osobiście dygnitarzy i urzędników. Zasiada on w tym celu na wzniesieniu, urządzonem w jednym z dziedzińców serajowych, pierwsi urzędnicy dworu go otaczają, a dygnitarze po porządku defilują przed nim i oddają pokłony. Przed laty, jaskrawe, złotem i klejnotami ustrojone szaty dygnitarzy dodawały uroczystości tej ceremonii i miały cechę prawdziwego wschodniego zbytku i blasku. Dziś wszakże żywych kolorów i szerokie suknie ustąpiły miejsca zwyczajnemu surdutowi europejskiego kroju; — smutna oznaka spodziewanego upadku Państwa Ottomańskiego. Stosownie do przepisów Ramazan-Bejram ma trwać tylko jeden dzień, przedłużany zaś bywa do dni trzech; — tak samo jak za 70 dni później przypadające święto Kurban-Bejram (święto ofiar) zamiast czterech dni przeciąga się do pięciu i więcej dni. Święto to na pamiątkę ofiarności patryarchy Abrahama szczególnym sposobem nie ma w Turcyi tak wysokiego znaczenia, jakie wschodni Islam mu przypisuje. W Konstantynopolu i innych miastach kraju święto to znać tylko po niezwyczajnej liczbie owiec, które z prowincyi na ulice miasta spędzają. Kto tylko może, kupuje owcę i zabija ją własnoręcznie, modląc się przytem podług rytuału. Oprócz tych dwóch świąt, w państwie Ottomańskiem jest jeszcze trzecie, mianowicie Mewlud tj. rocznica urodzin Mahometa, ustanowiona przez Murada III. w r. 1588, które wszakże w Islamie nie jest obchodzone. Obchodzi się ono tylko publiczną procesyą do Meczetu, którą prowadzi sułtan otoczony dygnitarzami.

Inną zupełnie cechę mają święta dalej na Wschodzie, zasadzające się przeważnie na obchodzeniu dni żałoby — a tylko jedno prastare jest tam święto uroczyste. Do pierwszych należą przedewszystkiem ustanowione przez gorliwość religijną dnie żałoby i zemsty, których obchód szczególne na cudzoziemcu robi wrażenie. Idzie tu głównie o walkę sukcesyjną Alego przeciwko trzem pierwszym Kalifom i o to, aby ciężko obrażonego bohatera narodowego Iranu wznieść pod niebiosa, a przeciwników jego potępić i wyśmiać. W pierwszym rzędzie idzie rocznica urodzin Mehdego 15 Szaaban; dalej święto Gadir-i-chom 17 Dżemazilu-a-chir na pamiątkę dnia, w którym Machomet w podróży swej z Mekki do Medyny, zięcia swego Alego zastępcą swoim naznaczył. Dzień śmierci Alego jest równie narodowym dniem żałoby, jak 27 Ramazan dzień śmierci Ibn-Muldżema, mordercy Alego, jest dniem uciechy i radości. Do tej kategoryi należy także Omer Suzani, tj. święto spalenia Omara, które w następujący obchodzą sposób. Robią strasznego bałwana, nazywają go Omarem, napełniają wewnątrz prochem, noszą go wieczorem po ulicach miasta tego nienawidzonego Kalifa i ku wielkiej radości za pomocą rakiety wysadzają go w powietrze.

Jeżeli wszystkie inne uroczystości religijne Islamu wstręt pewien obudzić mogą, to za to święto Nowego Roku i obchód jego jest prawdziwie poetyczny i uroczy Przypada ono podczas wiosennego porównania dnia z nocą, i w całym Islamie z wielką jest obchodzone pompą. W Konstantynopolu święto to, Noruz zwane, obchodzone tylko bywa w domach zamożniejszych przez spożycie pewnych słodyczy i dekoktów, które domowy aptekarz w podarunku przynosi. Lecz od wschodniej granicy państwa Ottomańskiego aż do Chin, Noruz ważniejszą gra rolę, aniżeli inne święta religijne. W Iranie przygotowują się do niego na kilka miesięcy naprzód. Cukier, syropy i konfitury owocowe, podczas trzynastodniowej uroczystości, znoszą do miasta w olbrzymich ilościach. Każdy marzy tylko o tem, aby nowe sprawić sobie suknie; od króla do żebraka, każdy odbiera i rozdaje podarunki. Uroczystość rozpoczyna się w chwili oznaczonej przez astrologów. Przy tej sposobności sadzą się wszyscy na powinszowania wierszem i prozą. Szach korzystając z okazyi zgromadzenia dygnitarzy rozpytuje się o stan kraju, rolnictwa, przemysłu i żąda sprawozdania o rozpowszechnieniu wiary. Pierwszy minister rozpoczyna Nowy Rok olbrzymiem kłamstwem, mówiąc o bogactwie prowincyi, którym nędza dokucza. W podobny sposób kłamią wyżsi duchowni, niestworzone opowiadając bajki o szerzeniu się wiary Mahometa. I pytający i odpowiadający wiedzą dobrze, że są okłamywani i kłamią, lecz to nie przeszkadza szachowi rozrzucać podarki i złoto w tem przekonaniu, że rozpocząć Nowy rok od dawania złotych prezentów dobrą jest na przyszłość przepowiednią.

Uczony Richardson opisuje nową, w ostatnich czasach na Wschodzie wprowadzoną ceremonią noworoczną. Na krótki czas przed Nowym Rokiem, przed drzwiami królewskiego zamku staje młodzieniec, allegorycznie Rok Nowy przedstawiający i w chwili, w której słońce ukazuje się na horyzoncie, wchodzi do pałacu. Na zapytanie króla: „Kto jesteś? Dokąd idziesz? Jak się nazywasz? Co przynosisz?" młodzieniec odpowiada: „Jestem błogosławiony i przez Boga do ciebie przysłany, przynoszę ci zaś rok nowy."

Inny znów młodzieniec niesie miskę z pszenicą, bobem, prosem i ryżem, oprócz tego zaś kawał cukru i dwie z pod prasy monety, — a nareszcie chleb i bułkę ministrom i dygnitarzom ofiaruje. Szach spróbowawszy wszystkiego, resztę rozdziela pomiędzy obecnych mówiąc: „Dzień ten nowy roku nowego, jest dniem nowej ery, nowej pomyślności!"

To co się praktykuje w królewskim pałacu, powtarza się z niektóremi odmianami w pałacach dygnitarzy, — w prywatnych zaś kołach familijnych ubierają się wszyscy w nowe suknie i czas przy stole spędzają. Rozumie się, nie mówimy tu o właściwym stole, ale rozpostartym na ziemi dywanie, na którym stoi naczynie z wodą. Na takowe wszystkich zwracają się oczy. Woda bowiem w chwili, w której słońce w nowy znak wstępuje, wskutek poruszenia ziemi, ma się lekko zbałwanić, a to jest sygnałem wzajemnych powinszowań. Życzenia te słychać wewnątrz i zewnątrz domu, na wszystkich ulicach miasta, wszędzie gdzie tylko się ludzie spotykają. Z Noruzem rozpoczyna się nowe życie i nowy rok w urzędowym, handlowym, przemysłowym i rolniczym świecie.

W surowo religijnej Bocharze Noruz wszędzie bywa obchodzony, lecz nie tak uroczyście, jak w miastach wschodniego Turkestanu.

— Roku pańskiego 1683 Imćpan Miączyński powracał z wyprawy wiedeńskiej, a wiózł ze sobą mnogość skarbów. Tymczasem most się na Dunajcu zawalił i skarby zatonęły... Sfrasowany starosta wniósł tedy do ksiąg grodzkich sandomierskich ostrzeżenie, które tu podajemy w dosłownym wypisie:

„Actum in Castro Sandomierensi Feria Tertia post Dominicam Ramis Palmarum Quadragesimalem proxima Anno Domini 1684.

Magnificus Miączyński manifestat."

„Do urzędu y ksiąg Grodzkich Sandomierskich — personaliter veniens Wielmożny Athanazy na Miączynie Hrabia Miączyński Thesaurarius Curiae Regni, Łucki, Krzepicki, Łosicki etc. Starosta Jego Królewskiey Mości Regimentarz, takowy do akt podał manifest. Iż revertendo z okaziey feliciter za pomocą Boską porażeniem Woysk Tureckich Anni praeteriti zakończony — przy przeprawie u Dunayca pod Rudniczną wozów dwa, z pachołkami uprzęgiem i końmi przez załamanie mostu do rzeki wpadło, a gdy ieden cum difficultate przez sługi i inne ludzie był wyratowan, drugi wóz propter gravitatem et profunditatem fluvii item brzegu stromego zatopiony, naładowany był vario suppelle etili, iako bronią kosztowną — naczyniem złotem, srebrnem i miedzianem, a osobliwie y w czem Recognoscens poczuwa wielkie strapienie ze straty Obrazu Nayświętszey Bogarodzice w złotem wizerunku srebrnemi ramy oprawionego, item moździerza posrebrzanego na Bissurmańskiem hufie zdobytego, a przez Nayiaśnieyszego Króla Jegomości onemuż gratiose podarowanego, item ze straty szkatuły. w której oprócz 5000 czerwonych złotych były różne pierścienie sztuk osiem, sygnet herbowy szczerozłoty, dwa krzyże dyamentowe, Dokumenta y listy rozmaite, Ordynanse Króla Jegomości, Hetmana y Woiewody Ruskiego, Dyplom od Nayiaśnieyszego Cesarza Leopolda na tytuł Hrabiego za okazane męztwo przy oswobodzeniu stolicy państwa Wiednia od Turków y za inne usługi Recognoscentowi wydany — było tam jeszcze wiele innych osobliwości, jako szabla w jaszczur złoty oprawiona o trzech szmaragdach, kilka strzelb złotem y drogiemi kamieniami ozdobnych etc. etc. Aby więc in casu uratowania nikt się do tych rzeczy nie przyznawał, ale iako vera et legitima zeznawaiącego, onemuż oddał, na to czyni się ninieysze ostrzeżenie. *Athanazy na Miączyniu Hrabia Miączyński."*

Ciekawa rzecz, czy też owe starościńskie skarby są jeszcze na dnie Dunajca?

— Ze wszystkich banków bijących pieniądze, bank angielski przy tej czynności zadaje sobie najwięcej zachodu i stosuje największe środki ostrożności; to też jeszcze dotąd banknotów angielskich nie zdołano sfałszować. Papier używany do tych banknotów, fabrykowany jest z czystej białej weby, w Laverstoke opodal Southampton, i od lat dwustu robota koło nich powierzaną jest potomkom jednej rodziny protestantów francuskich, która za Ludwika XIV-go wyemigrowała do Anglii. Środki kontroli w fabryce posunięte są do takiego stopnia, że za wyjściem z pod maszyny każdego arkusza papieru, aparat zegarowy go zaznacza na swej tarczy. Samo zaś odbijanie banknotu odbywa się wewnątrz banku, według systemu Coe'go, który nie dopuszcza, aby dwa bilety były do siebie zupełnie podobne. Każdy otrzymuje jeden osobny znak; tym sposobem łatwo dojść można w danym razie do rozpoznania podrobienia. Duplikat banknotu może być tylko fałszywym. W ciągu ostatnich siedmiu lat bank angielski spłacił monetą 94,000,000 banknotów, zawartych w 18,000 skrzyniach. Wartość ich przedstawia 3 miliardy funtów szterlingów, czyli licząc po normalnym kursie, około 180 miliardów złr.

Treść Nr. 49.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.